TYDZIEŃ

Nr 16 (40) ROK II

20. IV. 1947

CENA 15 ZŁ



W TYGODNIU ZIEM ODZYSKANYCH

Tak i nie

Przed dymisją Bevina



Jak donoszą z Anglii, dymisja Bevina ze stanowiska Ministra Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii jest już zasadniczo przesądzona. Wiadomo, iż Bevin obejmie kierownictwo Urzędu Planowania Gospodarczego. Jako kandydatów na jego następców wymieniają: ministrów Alexandra, Daltona i Cripsa. Te trzy różne kandydatury odzwierciedlają trzy różne tendencje brytyjskiej polityki zagranicznej. Pierwszy lord Admiralicji Alexander jest bliskim współpracownikiem Bevina. Toteż kontynuował by zapewne jego politykę. Dalton, obecny kanclerz skarbu, reprezentuje centrum Partii Pracy, toteż jego nominacja oznaczałaby pewną zmianę. Cripps, minister handlu zagranicznego, jest rzecznikiem poglądów lewicowych i ścisłej współpracy ze Związkiem Radzieckim. W okresie wojny jego dziełem było zawarcie porozumienia między Wielką Brytanią i Związkiem Radzieckim.

Ciekawe jest, która z tych kandydatur ostatecznie zwycięży.

Uczciwi i nieuczciwi

WIELOKROTNIE poruszano w krajach anglosaskich sprawę kontroli rozdziału dostaw UNRRA w poszczególnych krajach, zarzucając co raz to innemu rządowi nadużycia przy rozdziale artykułów żywnościowych. Jak donosi „Tribune" wysoki urzędnik administracyjny UNRRA uznał, że najbardziej niesolidnie wywiązały się z obowiązków podziału: 1) Chiny, 2) Grecja i 3) Włochy. Kraje, w których podział odbył się najsumienniej wymienił w następującej kolejności: 1) Ukraina, 2) Białoruś, 3) Polska, 4) Jugosławia i 5) Czechosłowacja.

Bierny opór

PRODUKCJA węgla w Zagłębiu Ruhry jest niezadowalająca, mimo wszelkich wysiłków brytyjskich władz okupacyjnych. 300 tysięcy górników niemieckich wydobywa niewiele ponad 200 tysięcy ton węgla dziennie. Na jednego górnika nie wypada przeto nawet tona wydobytego węgla. Tymczasem na węgiel niemiecki czeka aż piętnaście krajów europejskich.

Po poprzedniej wojnie Francja zagwarantowała sobie dostawy węgla niemieckiego Traktatem Wersalskim. Miała otrzymywać stale 7 milionów ton, a czasowo 20 milionów ton rocznie, jako odszkodowanie za zniszczenie kopalń w północnym zagłębiu. Węgiel niemiecki otrzymywała również Belgia, Luksemburg i Włochy. Razem dostawy węgla niemieckiego do krajów europejskich wynosiły rocznie około 50 milionów ton. Dziś dostawy zagraniczne są minimalne i sprawa natrafia na silny opór ze strony brytyjskich władz okupacyjnych, które pragną zatrzymać węgiel niemiecki dla wewnętrznej odbudowy przemysłowej Niemiec.

Skąd pochodzi ta wielka różnica? Pismo amerykańskie „Time" zainteresowało się tym zagadnieniem i przeprowadziło wśród górników niemieckich ankietę. Mówili, że nie mają dość sił do pracy, gdyż nie otrzymują dostatecznych racyj żywnościowych. Dziennikarz amerykański sprawdził, że to nieprawda. Ze górnicy są uprzywilejowani, że otrzymują dodatkowe racje nie tylko artykułów żywnościowych, wódki i papierosów, ale nawet ubrania i sprzęty domowe.

Na taki oczywisty dowód górnicy niemieccy przyznali, że nie pracują, gdyż węgiel jest wywożony, choć Anglicy właśnie ograniczają wywóz węgla niemieckiego.

Strajkowanie nie jest w tej chwili bronią pożyteczną. Więc górnicy niemieccy zjeżdżają do szybów i pracują powoli.

Kolumna zwycięstwa

W BERLIŃSKIEJ Alei Zwycięstwa stoi szereg ciężkich pomników z kamienia, przedstawiających królów pruskich i zwycięskich wodzów. Wszystko razem brzydota, którą Niemcy się zachwycali, a która nie wywierała na cudzoziemcach najmniejszego wrażenia. Jeden pomnik tylko wybija się spośród tej szpetoty: Kolumna Zwycięstwa, postawiona po zwycięstwie pod Sedanem. Wysoka, smukła, kolumna marmurowa, a na jej szczycie lecący anioł z gałęzią palmy.

Francuzi nie są Hunnami i kolumny nie obalili. Ich największym zadośćuczynieniem, gdy objęli pod okupację swoją dzielnicę Berlina, było zatknięcie na kolumnie trójkolorowego sztandaru francuskiego. Tymczasem Niemcy sami zaczynają się upominać o zniszczenie tych pomników militaryzmu i imperializmu niemieckiego. I oto magistrat berliński zwrócił się do władz sojuszniczych o usunięcie Kolumny Zwycięstwa, pomnika Fryderyka Wielkiego i innej pomnikowej brzydoty. Być może, że teraz Francuzi chętnie skorzystają z oferty berlińskiego magistratu.

Szał emigracyjny

W zniszczonej wojną Europie istnieje pęd do emigracji do krajów zamorskich. W krajach zachodniej Europy (poza Włochami) proces ten objął przede wszystkim warstwy zamożnego mieszczaństwa, które ucieka w obawie przed zwycięskim pochodem gospodarki uspołecznionej.

Prawdziwy szał opanował jednak Niemców. Liczba kandydatów obliczona jest na ponad 2 miliony młodych ludzi. Wszystkie urzędy, pozostające pod nadzorem władz sojuszniczych, odpowiadają na wszelkie zapytania petentów niemieckich stereotypowo, że nic im nie wiadomo o możliwościach wywędrowania. Tym niemniej Niemcy emigrują. Powszechnie znany jest fakt osiedlenia się tysięcy hitlerowców w Hiszpanii i Ameryce Południowej. Natomiast znacznie mniej wiadomo o tym, że do Szwecji od chwili zakończenia wojny przedostało się 1500 Niemców, oczywiście zasobnych w dewizy, które powinny służyć do pokrycia odszkodowań wojennych.

Jakże miło stwierdzić, że Polska jest świadkiem odwrotnego procesu — masowego powrotu swoich emigrantów, którzy wywędrowali w pogoni za chlebem.

W obronie wiatraków

Europa poszukuje dewiz. Nie tylko tradycyjnie gościnne kraje: Francja, Szwajcaria i Austria walczą już o cudzoziemskich przybyszów. Przybył nowy konkurent — Holandia. Rozwój sytuacji w Indonezji nadszarpnął finanse kraju, poważnie zniszczonego przez okupację niemiecką. 20 milionów dolarów, jakie wpływają z Ameryki za cebulki tulipanów nie wystarczą na zrównoważenie bilansu płatniczego. Rozpoczęto ożywioną propagandę dla ściągnięcia Amerykanów. Jedynie właściciele wiatraków zażądali wydania zakazu sprzedawania przybyszom zza oceanu wiatraków w obawie, że zachęcą je demontować i przenieść do Ameryki. Na Anglików ciągle jeszcze mało się liczy. Rząd angielski wprowadził rozliczne ograniczenia, mające zapobiec marnowaniu zagranicznych pieniędzy. Np. nie wolno angielskim kupcom zabierać rodzin do Szwajcarii. Muszą się nadto bardzo skrupulatnie tłumaczyć z wydawania pieniędzy. Zegarków kupować nie wolno!

NASZA OKŁADKA



rys. B. W. Linke
Po burzy

Odbudowa Ukrainy

Pierwsza pięciolatka ZSRR uprzemysłowiła Ukrainę. Obecna ma odbudować to co po gospodarce Niemców pozostało z wysiłków pierwszego planu. Niewątpliwie wielkim osiągnięciem jest zrealizowana odbudowa stalowni zaporoskiej, jednego z największych kompleksów ciężkiego przemysłu w tym rejonie Związku Radzieckiego. W październiku 1943 natychmiast po wypędzeniu Niemców przystąpiono do robót. W grudniu 1946 r. zapłonął ponownie wielki piec, dając dziennie ponad 1000 ton żelaza. Walcownie są wykończane. Również budynki mieszkalne naprawiane są w szybkim tempie. Radziecka Ukraina odżywa.

Ciekawa ankieta

POPULARNY amerykański miesięcznik „Fortune" przeprowadził zakrojoną na szeroką skalę ankietę, w wyniku której otrzymał m. in. następujące ciekawe odpowiedzi:

48% osób pragnie rozwinięcia obecnie obowiązującego systemu ubezpieczeń społecznych,

3% chciałoby ograniczyć obecne świadczenia, a

32% wypowiedziało się za utrzymaniem obecnego stanu rzeczy.

Szczególnie interesujące są wypowiedzi w sprawie zagwarantowania minimum egzystencji:

70% jest zwolennikami ustawowo zagwarantowanego minimum,

21% jest za nieograniczoną zupełnie swobodą pracodawców. Nadto

45% jest za zbiorowymi pertraktacjami o płace i umowami zbiorowymi, a tylko 31% jest przeciwko tej postępowej formie regulowania płac.

Podstęp kupiecki

SZWAJCARIA sprowadza wiele towarów ze strefy amerykańskiej i angielskiej Niemiec. Stosownie do przepisów wydanych przez władze okupacyjne należność za te towary jest pobierana w dolarach, a dostawcy niemieccy otrzymują równowartość w markach niemieckich. Kupcy szwajcarscy nie byli zadowoleni z tego stanu rzeczy. Uznali, że Niemcom dzieje się krzywda, że trzeba ich jakoś bardziej zainteresować w eksporcie do Szwajcarii i zawarli szereg porozumień, na mocy których płacą część ceny oficjalnym władzom okupacyjnym, resztę zaś ciepłą rączką do im tylko wiadomych miejsc w drogocennych frankach szwajcarskich.

Tak i nie
STRONA 4

Ostrze na ostrze

Stabilizacja wiosny

Właściwie tym razem wcale nie ostrze na ostrze. Bez żadnych przycinków pod czyimkolwiek adresem. Nie dlatego, że ten i ów się dąsa, że gdera na zbyt wiele „szpilek" w „Tygodniu". Trudno, zdarzają się ludzie, w których przesubtelniona wrażliwość na tak zwane proporcje, tudzież skłonność do brania wszystkiego na serio zabijają poczucie humoru. Godząc się pogodnie z faktem ich istnienia, stwierdzam jednak: nie boimy się Czarnego Luda. Mimo to chowam na dziś wszystkie ostre przyrządy.

Rozbroiła mnie wiosna. Jak można pastwić się nad kimkolwiek, gdy potoki słońca, ludzi i wspaniałych samochodów (nie mam oczywiście na myśli Miejskich Zakładów Komunikacyjnych) coraz potężniej zalewają ulice Warszawy?

Warszawa pączkuje. Nie tylko w parkach i ogrodach. Jest jeszcze inna młoda zieleń stolicy, warszawskie nowalijki. Jak świeże listki na starym, ściętym pniu, w oczach, z minuty na minutę, wyrastają wśród ruin nowe domy, czarne wypalone mury ubierają się w modną kratkę rusztowania puste i ślepe okna zaczynają znów widzieć, błyszcząc nowymi szybami.

Nie ma dnia żeby nie otworzył się gdzieś niespodziewanie nowy sklep — nowa zagadka dla zagranicy i rodzimych pesymistów: skąd tyle towarów i tylu klientów w zburzonej Warszawie, że ich jakoś dla tych wszystkich świeżo upieczonych przed siębiorców wystarcza? Czy nie zachodzi obawa, że niedługo trzeba będzie wprowadzać system racjonowania klientów, jako artykułu brakującego na rynku?

A więc — chyba stabilizacja? Niewątpliwie. Podobno nawet najbardziej płynne ze wszystkich kształtów płynnych: formy urzędowego i racjonalnego kierowania odbudową Warszawy mają się w końcu definitywnie ustalić. Miejmy nadzieję, iż dzieło to zostanie dokonane jeszcze przed zakończeniem samorodnej akcji budowlanej, jaką obserwujemy obecnie. Tempo odradzającej się Warszawy potwierdza myśl Szekspira, że są rzeczy na niebie i ziemi, a zatem także w Warszawie, o których się filozofom z BOS-u i pokrewnych instytucji nie śniło.

A te auta, wspaniałe, lśniące limuzyny, toczące się jak egzotyczne dziwa po warszawskich wybojach... Wśród szarego tłumu przechodniów i tramwajowych wisielców wywołują coprawda złośliwe komentarze na temat niedemokratycznych obyczajów demokratycznych dygnitarzy, lecz przyznajmy się, z ręką na sercu, że tak po cichu warszawiacy są z tych pojazdów trochę dumni. Bo to i europejskim stołecznym rozmachem zalatuje i trochę blaskiem dawnej, eleganckiej Warszawy pachnie i powracającym do kraju rodakom można je pokazać.

Największe rendez-vous limuzynowe odbywa się obecnie na ulicy Daszyńskiego. Sejm. Po kilkutygodniowej przerwie w obradach znów sesja. Ale tym razem już nie odświętna, jak tamta poprzednia. Taka zwykła, normalna, dwumiesięczna pracowita sesja budżetowa.

Jak przed wojną? Niby tak, a właściwie nie. Też cyfry, suche, trudne, skomplikowane, 2 pisze się tak samo, jak się przed wrześniem pisało 2 — ale znaczą co innego. Inna jest ich treść i inna wymowa. Wtedy — niepewność, lekkomyślność i lęk. Dziś — pewność, rozsądek i nadzieja. Wtedy — kryzys. Dziś — równowaga. Wtedy — było jeszcze przed nami złe jutro, które dziś jest dla nas już tylko dniem wczorajszym. A dziś — przed nami lepsze dni następne, o których właśnie mówią cyfry, ogłoszone w Sejmie przez Ministra Skarbu.

A więc — po trochę przydługiej zimie — stabilizacja wiosny. I stabilizacja życia. AVIS

Adam Rapacki

BEZPARTYJNI

NALEŻĘ do partii. Poprzez partię jestem czynnym członkiem obozu demokratycznego. Wierzę, że droga, którą obrał obóz demokratyczny, jest drogą słuszną — więcej: jedyną drogą zachowania bytu i zapewnienia rozwoju Polski.

Wiem, że nie wszyscy tę drogę rozumieją. I nie dziwię się. Są tacy, nieliczni, którzy nie mogą zrozumieć i nigdy nie zrozumieją. Są inni, bardzo liczni, którzy jeszcze nie zdążyli zrozumieć. Przed dwoma laty była ich większość. Przed rokiem jeszcze bardzo wielu. Dziś mniej, za rok znowu następni zrozumieją. Tak musi być, kiedy wielkie zmiany zaskakują narody, kiedy wypadki wyprzedzają myśl.

Musieliśmy przetrwać okres ciężki dla obu stron — dla rozumiejących i nierozumiejących, dla obozu demokratycznego i dla jego świadomych i mniej świadomych przeciwników — okres walki o utrzymanie władzy ludowej w Polsce. Hasłem słusznym i koniecznym było: nie wolno oddać władzy ani wrogom jedynej drogi życia i rozwoju narodu, ani tym, którzy tej drogi jeszcze nie mieli czasu zrozumieć. Nie wolno pod groźbą katastrofy całego narodu.

TEN okres zamknął się bilansem z dnia 19 stycznia. Dnia 4 lutego nowy Sejm wyborem Prezydenta, amnestią, Małą Konstytucją, votum zaufania dla pierwszego stałego Rządu Rzplitej otwiera nowy okres. Okres mobilizacji wszystkich sił do normalnej pracy politycznej i odbudowy gospodarczej.

Ta mobilizacja musi się udać, jeżeli nie mamy stanąć znów do walk wewnętrznych ,co ważniejsze — jeżeli mamy odbudować i zbudować nową Polskę — jedyną możliwą i jedyną zdolną do życia w tej epoce i w tym punkcie Europy — Polskę Ludową.

W nowym okresie praca polityczna musi polegać na przekonywaniu opóźnionych. Praca gospodarcza musi polegać po prostu na pracy.

DLATEGO wszystkie partie obozu demokratycznego zwróciły się do bezpartyjnych z wezwaniem do współpracy. Dlatego zwróciły się, nie po raz pierwszy, do własnych członków o szacunek dla pracy bezpartyjnych, o zaniechanie zbyt gorliwego i nieprzekonywującego nawracania środkami mechanicznymi. Bo nie chodzi o przypinanie znaczków partyjnych coraz większej liczbie ludzi. Chodzi o wiele więcej: o poczucie odpowiedzialności za los państwa, o wolę tworzenia, jeżeli nie u wszystkich to u olbrzymiej większości Polaków.

Bez odpowiedzialnego twórczego wysiłku wielkich mas ludzkich — można przeprowadzić przewrót polityczny, ale nie dokona się rzeczy wielkich. A w Polsce trzeba dokonać rzeczy wielkich, albo... czekać na nowy, tym razem ostateczny rok 1939 czy 1944.

OSTATNIO zabrał głos i ruch spółdzielczy. Zarząd „Społem" potwierdził swe dotychczasowe stanowisko wobec bezpartyjnych, stwierdził, że wymaga przede wszystkim lojalnej, rzetelnej pracy, że legitymacja partyjna nie może być ani warunkiem awansu, ani osłoną zaniedbań.

Ciekawy, pouczający przykład — ta sprawa bezpartyjnych w spółdzielczości.

Przecież „Społem" to nie pierwsze lepsze biuro ,a spółdzielczość to nie stado sklepików. Spółdzielczość jest ruchem społecznym, i to bynajmniej nie odrębnym: jest gałęzią wielkiego demokratycznego ruchu społecznego, obok partyj politycznych, związków zawodowych, ruchu kulturalnego. Przecież spółdzielczość dzisiaj jest podstawowym elementem nowego, demokratycznego systemu gospodarczego w Polsce.

Zdawałoby się, że powinno się w spółdzielczości wymagać od pracowników jakiejś wyraźnej deklaracji politycznej...

Jest inaczej. Poza garstką stanowisk kierowniczych, gdzie trzeba pełnej świadomości społecznej, a więc i politycznej, poza bardzo nielicznymi wypadkami nadgorliwości lokalnej członka tej, czy innej partii — „Społem" opiera się na większości pracowników bezpartyjnych i ceni ich pracę. Nie ma nacisku, nie ma wielkich akcji werbunkowych. Dość powiedzieć, że bezpartyjni są nie tylko w Zarządzie „Społem", ale nawet kierownik Działu Personalnego jest autentycznym bezpartyjnym.

KIEROWNICTWO „Społem" mówi sobie wyraźnie: kto rzetelnie i lojalnie pracuje w spółdzielczości — pracuje rzetelnie bezpośrednio dla rozbudowy i umocnienia demokracji gospodarczej. To chyba wystarczy. To więcej, niż znaczek partyjny na piersi niesumiennego pracownika.

I nie tylko tak mówi sobie kierownictwo „Społem". Uczciwie stawia sprawę wobec pracowników. Kto pracuje w spółdzielczości, wie, że pracuje dla demokracji w Polsce. Wie o tym olbrzymia większość bezpartyjnych i pracuje w spółdzielczości z czystym sumieniem. To jest jeden charakterystyczny fakt.

Drugi — to skutki takiej polityki. Twierdzę, że świadomość społeczna, że społeczna — choćby nie polityczna postawa demokratyczna pracowników „Społem" jest mocniejsza, niż w jakiejkolwiek wielkiej instytucji. Że lojalność polityczna bezpartyjnych jest bardzo wysoka. I nie wiem, czy gdziekolwiek pęcznieją tak szybko koła partyjne od bezpartyjnych dobrowolnie zgłaszających się z naprawdę dojrzałą decyzją.

DLACZEGO o tym piszę? Żeby wyciągnąć wnioski z tych dwóch charakterystycznych zjawisk.

Wniosek pierwszy — są w Polsce miliony bezpartyjnych, którzy nie tylko mogą pracować, ale mogą pracować z pełną świadomością i z czystym sumieniem dla nowego życia polskiego.

Mogą tak pracować w spółdzielczości, w ruchu zawodowym, w przemyśle, w administracji. Nie chcą pracować w polityce. Jedni nie dojrzeli jeszcze politycznie, inni mają rozpowszechniony, choć niesłuszny i niedemokratyczny „wstręt do polityki", jeszcze inni, najmniej wartościowi „wolą się nie angażować", jeszcze inni... i tak dalej. Dość jest przyczyn. Każdy obywatel powinien umieć myśleć politycznie — od tego jest obywatelem. Ale nie każdy musi być na codzień czynny politycznie. Byle pracował twórczo w odbudowie i przebudowie. Zdolnych do takiej świadomej pracy — są w Polsce miliony. To wystarczy. To nie są reakcjoniści, choćby nawet niektórym z nich tak się jeszcze zdawało — bo czyny ich są inne. Niedługo zrozumieją i odczują konsekwencje swych czynów.

Wniosek drugi: właśnie praca w nowych ramach ustrojowych, konkretna, codzienna współpraca z partyjnymi pracownikami — jest najlepszą drogą dojrzewania politycznego.

Świadomości społecznej uczy człowieka życie i praca więcej, niż przemówienia i broszury. I lepiej. Nowej Polski najlepiej nauczy Polaków jej budowa.

TERAZ łatwo zrozumieć głębszy sens wychowawczy pewnego plakatu przedwyborczego, który wołał: „Pomyśl rzetelnie — buduj razem z nami!".

Od tych dwóch rzeczy od myśli i twórczej pracy zależy nie tylko tempo budowy, ale i tempo wychowania prawdziwych obywateli.

Można mieć wątpliwości co do skuteczności wyborczej tak daleko sięgającego w przyszłość hasła wychowawczego.

Z punktu widzenia społecznego jednak, myślę, że najwięcej warte są te hasła przedwyborcze, które są aktualne i po wyborach... — A to — aktualne będzie bardzo długo.

NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

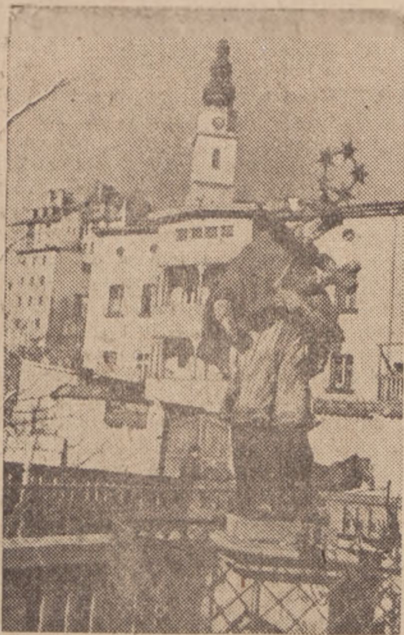
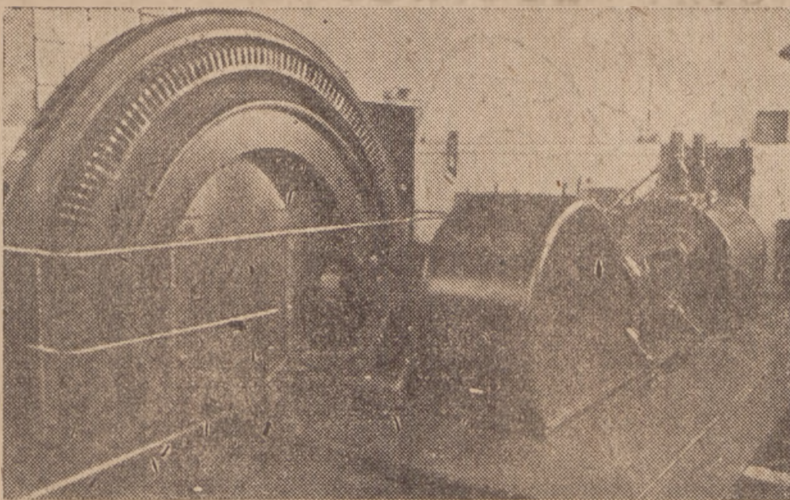


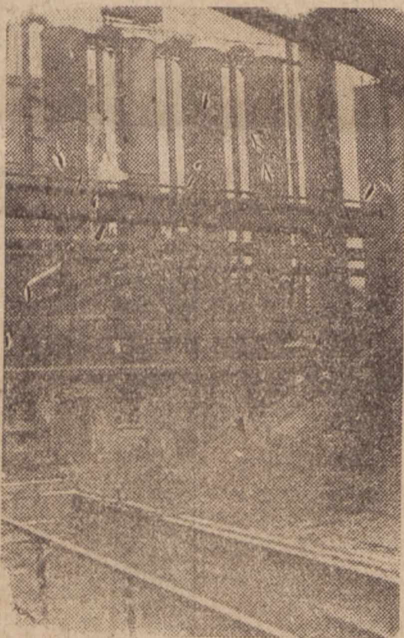
Figura św. Jana Nepomucena chroni most w Bystrzycy od powodzi. Stara tradycja znana w całej Polsce.



Stara baszta — pozostałość murów XVI wieku w Bystrzycy.



Wbrew złowieszczym krakaniom naszych wrogów potrafiliśmy uruchomić przemysł Ziem Odzyskanych. Na zdjęciu elektrownia fabryki zapałek w Bystrzycy.



Węgiel — skarb Ziem Odzyskanych. Na zdjęciu—fragment koksowni Wałbrzych.
Fot. Film Polski



Na gruzach starego, zburzonego Gdańska, powstanie nowy, znowu polski Gdańsk.

Nowy król grecki



Nowy król grecki Paweł, który wstąpił na tron po śmierci swojego brata Jerzego jest romantyczną figurą widywaną bardzo często w Monte Carlo i w innych miejscach zabawy Europy. Ma obecnie lat 45, ubiera się nienagannie w Londynie, nosi monokl i mówi doskonale po angielsku. Był on przed plebiscytem księciem regentem i postarał się o wprowadzenie na tron swego brata, którego teraz jest dziedzicem. Król Paweł żonaty jest z księżniczką Fryderyką Brunświcką, która jest praprawnuczką królowej Wiktorii, wychowała się w Anglii i oczywiście mówi doskonale po angielsku. Para królewska ma troje dzieci, sześcioletniego Konstantyna, który jest obecnie następcą tornu, oraz dwie córki: Zofię i Irenę.

Anglik w niemieckim sztabie

W PROCESIE marszałka Kesselringa w Wenecji przed trybunałem stanął sztywny brytyjski pułkownik Aleksander P. Scotland. Jakież było zdumienie sądu słuchaczy, gdy na pytanie obrony pułkownik Scotland przyznał, że służył jako czynny oficer armii niemieckiej. W ten sposób wyszła na jaw historia, odsłaniająca tajemnice wywiadu Inteligence Service w czasie dwu wojen.

Pułkownik Scotland, który jest siostrzeńcem Bernarda Shaw, przed pierwszą wojną światową służył w południowo - zachodniej Afryce, jako ochotnik w niemieckich wojskach kolonialnych. Gdy pierwsza wojna światowa wybuchła, został on internowany. Zaprzyjaźnił się z niemieckim dowódcą i w roku 1916 namówił go do poddania fortu, w którym był internowany, Brytyjczykom. Przybywszy do Anglii, został wyszkolony jako tajny agent i wysadzony w Niemczech. Mając wielu przyjaciół z czasów swej 17-letniej służby wojskowej w armii regularnej niemieckiej, został przyjęty z powrotem do armii niemieckiej z przeznaczeniem do niemieckiego sztabu generalnego. I służył w nim aż do końca wojny, do roku 1918.

Po klęsce Niemiec i rewolucji, pułkownik Scotland wrócił do Anglii i prowadził spokojne życie, jako człowiek prywatny. Po wybuchu drugiej wojny światowej, został natychmiast wysłany do Niemiec. Na podstawie akt personalnych oraz swoich szerokich znajomości wśród niemieckich oficerów, został ponownie przyjęty do armii. Nikt nie podejrzewał, że jest brytyjskim obywatelem, gdyż pułkownik Scotland urodził się w niemieckiej, południowo - zachodniej Afryce.

W drugiej wojnie światowej, Scotland przez pięć lat służył w Oberkommando der Wehrmacht na różnych stanowiskach. W czasie pierwszej wojny światowej został odznaczony m. inn. Niemieckim Żelaznym Krzyżem. W czasie drugiej wojny światowej do tego odznaczenia przybyło kilka innych wysokich niemieckich odznaczeń. Na urodziny Hitlera w roku 1945 został nawet specjalnym rozkazem awansowany.

Oczywiście, że Brytyjski Intelligence Service był bardzo dobrze poinformowany o zamierzeniach Oberkommando der Wehrmacht. Najciekawszą okolicznością z całej tej historii jest to, że w czasie pięciu lat wojny, pułkownik Scotland spędzał corocznie swój urlop w Anglii, dostając się tam, oczywiście drogą znaną do dziś jedynie szefom Intelligence Service. Ani żona pułkownika, która pracowała w przemyśle angielskim, ani nikt z jego przyjaciół do niedawna nie wiedział, że służył on w samym sercu niemieckiego Oberkommando der Wehrmacht.

Obecnie pułkownik Scotland jest członkiem wydziału wojskowego, zajmującego się badaniem niemieckich oficerów sztabowych i w tym charakterze stawał przed sądem w Wenecji jako świadek.

Tak i nie

Nie obrażać teściowej

W Japonii jest bardzo ryzykowne obrażać teściową. Robienie złośliwych uwag nawet o matce żony jest jedną z niewielu przyczyn wydziedziczenia w tym kraju.

Urzędnicy władz okupacyjnych w Japonii, którzy obecnie dostosowują japoński kodeks cywilny do nowej konstytucji, odkryli, że jest prawie niemożliwością wydziedziczenie członka rodziny z należnej mu części majątku rodzinnego. Każdy z krewnych ma swój dziedziczny udział i osobiste uczucia sporządzającego testament nie mogą mieć wpływu na jego ostatnią wolę.

Jeżeli jednak przyszły dziedzic ciężko obraził jednego ze swoich przodków — nawet przodka przez małżeństwo, co oczywiście obejmuje również teściową, to obrażony może udać się do sądu i spowodować wydziedziczenie na podstawie wyroku. Po zbadaniu sprawy urzędnicy okupacyjni doszli do przekonania, że przepis ten nie sprzeciwia się nowej konstytucji japońskiej a w szczególności przepisom o równości płci tejże konstytucji.

Dziecko z Lidic

Jak donoszą władze UNRRA z Wisbadenu, ostatnie zdaje się dziecko pochodzące ze zrównanej z ziemią miejscowości za śmierć Heyndricha w Czechach, Lidice zostało odnalezione w Niemczech, jest to niebieskooka Hanna Spotova. Po zamordowaniu ojca i zabraniu matki została wywieziona do Niemiec, gdzie w rodzinie niemieckiej Schluchtern miała być zgermanizowania. Została odnaleziona przypadkowo, gdyż jedna z Czeszek przebywająca chwilowo w tej miejscowości zwróciła uwagę na czeskie imię i nazwisko członka niemieckiej rodziny. Doniosła o tym UNRRA, a urzędnicy tejże przeprowadzili dochodzenia i odnaleźli matkę, która przebywała w obozie koncentracyjnym.

Port Gander

DZIESIĘĆ lat temu miejsce, na którym znajduje się port lotniczy Gander w Nowej Funlandii było zimną pustynią zamieszkałą jedynie przez dzikie zwierzęta. Dziś jest to największy, najnowocześniejszy i najbardziej ruchliwy port lotniczy świata. Pięciuset pasażerów dziennie przebywa na nim w drodze ze Stanów Zjednoczonych i Europy.

Położony na jednej trzeciej drogi z Nowego Jorku do Irlandii Gander jest używany obecnie przez osiem cywilnych linii lotniczych, utrzymujących komunikację transatlantycką. Ma siedem pasów do lądowania, z czego trzy mają po dwa kilometry, a jeden półtora kilometra. Lądować i startować wobec tego mogą tam największe samoloty świata. Dwadzieścia potężnych stacji nadawczych utrzymuje stały kontakt z amerykańskimi i europejskimi lotniskami oraz z samolotami w powietrzu. Urządzenie radarowe i inne urządzenia umożliwiające lądowanie w czasie złej pogody są dumą lotniska. Wedle danych na rok 1946 w roku 1947 trzysta pięćdziesiąt tysięcy pasażerów przejdzie przez to lotnisko.

Budowę lotniska w Gander rozpoczęto w roku 1936. Budowało je brytyjskie ministerstwo lotnictwa i rząd nowofunlandzki. W roku 1938 po raz pierwszy na falach eteru odezwała się radiostacja nowofunlandzka i gdy w roku 1939 wybuchła wojna, lotnisko gotowe było do użytku.

Jako najbliższy punkt kontynentu amerykańskiego w stosunku do Europy lotnisko Gander miało olbrzymie strategiczne znaczenie w czasie bitwy o Atlantyk. Tysiące myśliwców przez cały czas wojny startowało i lądowało na nim. Lotnisko zostało przejęte w roku 1942 przez RAF, a potem przez lotnictwo Stanów Zjednoczonych. W kwietniu 1946 roku rząd najstarszej kolonii angielskiej Nowej Funlandii przejął z powrotem w swój zarząd Gander i zamienił je na lotnisko cywilne.

Rząd nowofunlandzki chce rozwinąć turystykę łącznie z komunikacją lotniczą gdyż w odległości kilku kilometrów od lotniska znajdują się dziewicze tereny łowieckie i masa zarybionych jezior.

Na lotnisku Gander lądowało wiele wybitnych osobistości jak minister Mołotow, premier Attlee, pani Roosevelt, generał de Gaule i wielu innych.

Piramidy w Chinach

Piramidy istnieją również w Chinach. Tak przynajmniej doniósł pułkownik Sheahan, dyrektor światowych linii lotniczych. W czasie przelotów stwierdzono w górach zachodnich Chin piramidę, która widziana z góry wydaje się większa niż znane piramidy egipskie.

MĘŻOWIE OPATRZNOŚCIOWI NIEMIEC

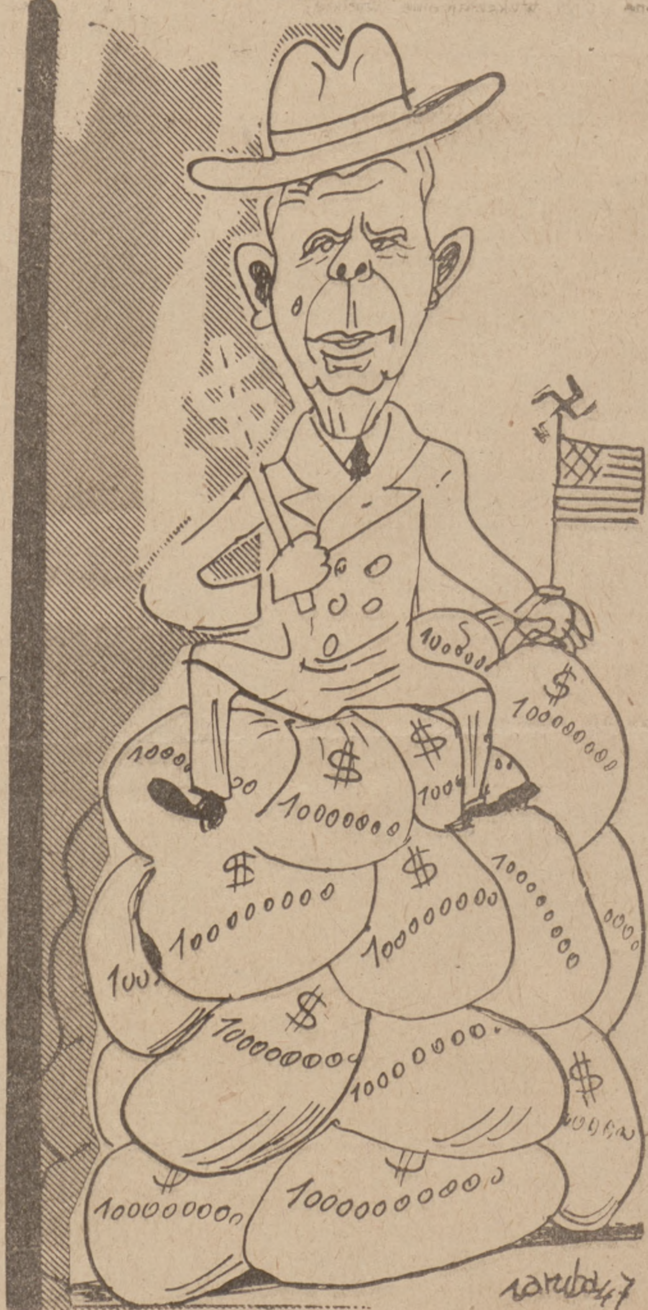
Ostatnie wystąpienie przedstawiciela USA Marshalla na Konferencji w Moskwie, zdemaskowało istotny sens troski Niemców: jest nim wspólny interes zagro żonego międzynarodowego kapitału.

r. 1944



Feldmarschal

r. 1947



Geld Marshall

Rys. Jerzy Zaruba

Jan Skulski

AMERYKAŃSKA GRA I NIEMIECKIE INTRYGI

DZIWNA HARMONIA

Czytając przemówienie amerykańskiego sekretarza stanu Marshalla w sprawie granicy polsko-niemieckiej, wygłoszonego na Moskiewskiej Konferencji 4-ch Ministrów Spraw Zagranicznych w dniu 9 bm. i porównując je z różnymi przemówieniami i artykułami w prasie niemieckiej różnych kandydatów na nowych führerów IV Rzeszy w rodzaju Schumachera i wielu innych mniej znanych z nazwiska polskiemu czytelnikowi — trudno oprzeć się wrażeniu, że brzmi w nich, choć w różnych wariacjach, jedna wspólna nuta. I choć różne są powody, dla których Niemcy chcieliby się znaleźć we Wrocławiu i Szczecinie, a Anglosasi chcieliby ich tam widzieć, to jednak głosy ich dziwnie dla polskiego ucha brzmią harmonijnie. Trudno jest w tym duecie amerykańskiego basu i piskliwych niemieckich dyszkantów odgadnąć, kto kogo natchnął do tej pieśni, ale że min. Marshall w Moskwie, podobnie jak swego czasu Byrnes w Sztuttgarcie dał sygnał, — to nie ulega wątpliwości.

Dał temu wyraz min. Modzelewski który na pytanie, jaka będzie reakcja w Niemczech na wystąpienie min. Marshalla, odpowiedział, „przewiduję podobną reakcję, jaka miała miejsce po mowie Byrnesa w Sztuttgarcie. Jedynym wynikiem przemówienia Marshalla będzie podniesienie głowy przez reakcję niemiecką".

Od pierwszej chwili po klęsce reakcyjne koła niemieckie pilnie nadstawiają ucha, łowiąc wszelkie najmniejsze rozdźwięki wśród państw sojuszniczych. Każdy istotny czy domniemany szmer wlewa w ich serca otuchę i nadzieję na nową wojnę, na nowy rewanż. Głównym jednak motywem ich marzeń to oczywiście przekroczenie granicy na Odrze i Nisie na wschód, daleko, na ile się da.

Czy jednak początkowo w głosie Niemców przeważały tony rzewne i liryczne rozdzieranie szat i obnażanie ran, powoływanie się na Boga i błaganie o litość— to po mowie sztuttgarckiej Byrnesa po raz pierwszy, a po mowie moskiewskiej Marshalla po raz drugi, zabrzmiały już obok starych, nowe tony.

Niemcy widocznie uznali, że nadszedł czas, by rozpętać orgię nienawiści antypolskiej i rozpocząć bój — choć tymczasem papierowy — o sforsowanie naszej granicy na Odrze i Nisie.

OBROŃCA EUROPY CZY SŁUGA KAPITAŁU

Pierwszy na scenę wystąpił Schumacher. Na kongresie partyjnym SPD Dolnej Nadrenii oświadczył on: „Z pełną jasnością oświadczamy: linii Odry-Nisy nie uważamy za granicę... O każdy metr kwadratowy ziemi za Odrą i Nisą musimy apelować do świata". Przemówienie to zakończył Schumacher wielomównym zdaniem: „Linia ta nie przyniosłaby również korzyści Anglii i Ameryce". W kilka dni później w wywiadzie udzielonym korespondentom „United Press" Schumacher uogólnił swoje tezy. „Obecne administracyjne granice wschodnie — oświadczył on — są nie do zniesienia zarówno z europejskiego jak też niemieckiego punktu widzenia". Niedługo po tem osławiona hakatystka Maria Sevenich w artykule p. t. „W ogniu rokowań" umieszczonym w „Kieler Nachrichten" pisała: „...wysuwamy żądania w sprawie niemieckiego wschodu. Obecne granice wschodnie są nie do zniesienia... Fakt, że w sprawie tej zgadzamy się z polityką mocarstw anglosaskich, napełnia nas głębokim spokojem".

Jakże zgodnie brzmią słowa Schumachera o „europejskim punkcie widzenia" ze słowami amerykańskiego sekretarza stanu, że tereny na wschód od Odry i Nisy „posiadają żywotne znaczenie dla gospodarki europejskiej". I ileż cynizmu jest w słowach Marii Sevenich, o zgodnej z Anglosasami polityce, która napełnia Niemców głębokim spokojem!

Na czym właściwie polega tak zwane „europejskie znaczenie" naszych Ziem Odzyskanych? Że leżą w centrum Europy? To fakt. Ale nie o to przecież chodzi!

Niemieccy „obrońcy Europy" i słudzy kapitału w jednej osobie wysuwają tezę, że w obecnym stanie rzeczy Europa kończy się na linii Odra-Nisa. By więc rozszerzyć Europę, należy tę linię graniczną przesunąć na wschód, oddać Niemcom ich „Ostgebiete" i w ten sposób włączyć je do „systemu europejskiego". Przez włączenie do systemu europejskiego niemieccy słudzy międzynarodówki wielkokapitalistycznej rozumieją oddanie przemysłu i produkcji tych ziem w posiadanie niemieckich i amerykańskich koncernów i trustów. Przemysłowcy i magnaci niemieccy ze Śląska już się organizują w strefach zachodnich Niemiec. Jak doniosła „Hannowerische Neueste Nachrichten", „w Hamburgu odbyło się zebranie członków „Przedstawicielstwa zakładów wschodnio-niemieckich". „Przedstawicielstwo" pracuje ściśle z Izbą Handlową w Hamburgu i znajduje u niej znaczne poparcie. Jednoczy ono obecnie 1100 firm ze wschodu, które znalazły znowu możliwość pracy w strefie brytyjskiej i amerykańskiej"

Jest rzeczą powszechnie znaną, że amerykańskie trusty przemysłowe posiadały przed i nawet w czasie wojny poważne udziały w śląskich koncernach przemysłowych. Na podstawie umów kartelowych i licencji patentowych koncerny niemieckie występowały często pod firmą trustów amerykańskich.

I tak w 1926 r. koncern Giesche, który posiadał kopalnie na terenie Polski, przyjął nazwę "Schlesisch - Amerykanische Geselschaft", by w ten sposób jako firma amerykańska, przeszkodzić przejęciu kopalń koncernu przez Polskę.

W rzeczywistości koncern Giesche był przedsiębiorstwem niemieckim, chociaż Amerykanie czerpali z niego wiele dochodów.

W pierwszym roku okupacji koncern Giesche wraz z koncernem Goeringa anektował nasz cały przemysł produkujący materiały wybuchowe. Gdy jednak po klęsce hitlerowskich Niemiec przemysł koncernu Giesche został przejęty przez Polskę, amerykański trust producentów miedzi "Anaconda - Copper Co." wystąpił z żądaniem oddania mu niemieckiego przedsiębiorstwa Georg Gieches Erben we Wrocławiu, uzasadniając swój tytuł własności nigdy uprzednio nieujawnionym układem kartelowym między amerykańskim trustem i niemieckim koncernem. Na marginesie warto zaznaczyć, że pośrednicy trustu „Anaconda" pozostający w sferze wpływów domu bankowego Morgana, subsydiowali i nadal subsydiują sanacyjne koła polskiej emigracji w Ameryce, które z kolei zobowiązały się wobec trustu „Anaconda" do oddania im koncernu Giesche, gdyby... im się udało dojść do władzy w Polsce.

Powyższe fakty, choć nie wyczerpują zagadnienia, rzucają dostatecznie jasny snop światła na to, co kryje się za „europejskością" naszych Ziem Odzyskanych, i co oznacza „europejski punkt widzenia" p. Schumachera i jego słowa, że „linia Odra - Nisa przyniosłaby również straty Ameryce i Anglii", i w końcu z jakiego źródła wypływa zgoda rewizjonistycznych żądań Niemców z polityką mocarstw anglosaskich, napełniająca takim spokojem hakatystkę Sevenich!

PRZYJĘTA OFERTA

Po Schumacherze, który szybko się zgrał i stał się w demokratycznej opinii świata synominem odradzającej się niemieckiej idei odwetu — na scenie zjawili się nowi aktorzy, choć starzy militaryści.

Znany z antypolskich wybryków przewodniczący FDP (Freie Demokratische Partei — Wolna Partia Demokratyczna), onże minister finansów w krajowym rządzie północnej Nadrenii — Westfalii, Franz Blücher, na zjeździe partyjnym oświadczył: „Pierwsze pudełko zapałek wzięto już znowu do kieszeni, aby zapalić beczkę z prochem w Europie. Źródłem wszelkiego zła jest linia Odry i Nisy. Ponieważ zabrano nam wschodnie tereny agrarne, musimy otrzymać zgodę na szeroki rozwój przemysłu i eksportu. Niemcy muszą otrzymać z powrotem możność uprawiania roli i produkowania towarów dla Niemiec na ziemiach, będących niewątpliwie niemieckimi. Dla spokojnej działalności tych ludzi żądamy od aliantów dostatecznej ochrony".

Czegóż w tym równie kłamliwym jak i bezczelnym przemówieniu nie ma? I grożenie nową wojną, i straszenie potencjałem przemysłowym, i w końcu niedwuznaczna oferta pod adresem aliantów przyjęcia „ochrony" nad rewizjonistycznymi żądaniami Niemiec.

Głos ten, jak i głos Schumachera i Sevenich usłyszano widocznie w amerykańskim Departamencie Stanu i w brytyjskim Foreign Office i min. Marshall przy poparciu min. Bevina, wziął na siebie w Moskwie niewdzięczną rolę opiekuna Niemiec. W mowie obrończej Niemiec min. Marshalla w sprawie granicy na Odrze i Nisie usłyszeliśmy tezy dziwnie podobne do argumentów Blüchera, Sevenich i innych.

Min Marshall oświadczył w Moskwie, że w razie nieoddania Niemcom Ziem Odzyskanych "gospodarka niemiecka będzie musiała być jeszcze bardziej niż przed wojną uprzemysłowiona"... i że granica na Odrze i Nisie „zburzy nadzieje na prawdziwie pokojową współpracę między Polakami i Niemcami w przyszłości"... co z kolei zagroziłoby „zachowaniu pokoju i bezpieczeństwa".

Słowa te, jakby żywcem zaczerpnięte ze sztambuchu rewizjonistycznej propagandy niemieckiej, co najmniej dziwnie brzmią w ustach ministra spraw zagranicznych kraju Roosevelta, który za bohaterstwo i wierność sojuszniczej sprawie ochrzcił nas mianem natchnienia świata. „Odnosi się wrażenie — oświadczył w związku z tym na konferencji w dniu 10 kwietnia br. min. Modzelewski — że obecnie Niemcom zaczyna przypadać w udziale ta pozycja".

ZAUŁEK ŻEBRAKÓW CZY ZAUŁEK ZŁOCZYŃCÓW

Antypolska propaganda niemiecka szeroko szermuje argumentem, że Niemcy w obecnych granicach są skazane na głód i na nędzę. Znana nam już Maria Sevenich, przemawiając na konferencji CDU w Osnabrück, oświadczyła, że „nowa granica skazuje 20 milionów Niemców na śmierć głodową i gdyby ona została, mielibyśmy w Niemczech o 20 milionów ludzi za dużo". Jak widzimy, Sevenich określa liczbę przesiedlonych Niemców na 20 milionów. Trzeba przyznać, że inni niemieccy politycy i publicyści są skromniejsi i oceniają liczbę przesiedlonych Niemców jedni na 8, inni zaś na 10 czy 15 milionów. Cóż, jeśli liczba Niemców przesiedlonych, która faktycznie wynosi 5 milionów, wzrosła do 10 i 15 milionów, a w ustach Sevenich do 20 milionów i gdyby ten rosnący ciąg liczby Niemców, których według Sevenich jest w Niemczech za dużo — miał dalej rosnąć, to rychło by się okazało, że jest ich może 60 milionów za dużo. Wtedy byśmy mogli służyć, nierealną wprawdzie, ale dobrą radą...

W tym samym dniu, w którym Sevenich przemawiała w Osnabrück, tj. 7 lutego br., członkowie krajowego rządu Hesji w strefie amerykańskiej na konferencji prasowej oświadczyli między innymi: „Jeśli Niemcy mają egzystować, to potrzebują całej ziemi, jaką posiadały w roku 1937-38. Naród niemiecki musiałby się stoczyć do poziomu narodu żebraczego, gdyby zmieniono jego granice".

Argumenty powyższe znalazły się i w przemówieniu min. Marshalla. W razie utrzymania granicy na Odrze i Nisie — twierdzi Marshall — „Niemcom zabraknie 2/5 potrzebnej im żywności" i w konsekwencji stałyby się one „zaułkiem żebraków w centrum Europy".

Twierdzenie to, które jest mieszaniną tendencyjnych liczb, zaczerpniętych z arsenału propagandy niemieckiej oraz podejrzanej troski o dobrobyt Niemców, jest w istocie rzeczy niezgodne z prawdą.

„Niemcy nigdy nie były samowystarczalne w zakresie wyżywienia — oświadczył w związku z powyższym min. Modzelewski na konferencji prasowej. W latach 1909—1913 produkcja rolna Niemiec pokrywała zapotrzebowanie w 80 procentach. W roku 1939 w 85 proc. Cyfry te świadczą wyraźnie o tym — ciągnął dalej min. Modzelewski — że pomimo zmniejszonego terytorium (po roku 1918 odpadły na rzecz Polski Pomorze i Wielkopolska, na rzecz Francji Alzacja i Lotaryngia) produkcja rolna w Niemczech wzrosła. Takie same możliwości wzmożenia produkcji rolnej mają Niemcy również obecnie. Przeprowadzenie reformy rolnej w zachodnich strefach okupacyjnych dałoby ziemię 280 tys. bezrolnych. Np. w Westfalii 213 tys. ha stanowi własność 207 obszarników. Teren ten pomieściłby po przeprowadzeniu reformy rolnej ponad 100 tys. rodzin bezrolnych".

Jak wynika z powyższego, można rozwiązać zagadnienie wyżywienia Niemiec środkami postępowo - demokratycznymi; ale niemieccy, rewizjoniści wolą szukać rozwiązania w dążeniu do Lebensraumu.

Jako sąsiedzi Niemiec nie jesteśmy zainteresowani, by Niemcy były zaułkiem żebraków, ale też nie możemy pozwolić na to, by Niemcy znów się stały zaułkiem złoczyńców.

I dlatego też w interesie naszego bytu niepodległego i w interesie pokoju światowego, granica na Odrze i Nisie musi być utrzymana, a Niemcy winny stać się narodem i państwem demokratycznym.

Komu uschnie ręka czyli nowe próby starego szantażu

Druga część artykułu Jana Skulskiego— w numerze następnym

Leon Sobociński

NA POMORZU ZACHODNIM POLSKA ROŚNIE



Siedzę w największej w Polsce kawiarni „Baltic Palace", a bodajże czy nie jednej z większych w Europie i porządkuję swe notatki do mającego się ukazać w „Tygodniu" reportażu ze Szczecina.

Taką kawiarnię, taki dancing, ma właśnie Szczecin. Bo Szczecin miasto nie ułomek. Przed wojną ilość mieszkańców wyrażała się cyfrą 350.000.

Dziś, przypuszczam, będzie więcej aniżeli połowa tego, gdyż miasto rośnie, jak grzyb po deszczu.

Handlowy to był i przemysłowy ośrodek. Dlatego mi nie dziwno, że zmysłem kupieckim obdarzeni Poznaniacy rzucili się pierwszą falą zasiedlić tę nadmorską perłę bałtycką.

W żadnym z innych miast Ziem Odzyskanych nie ma tylu Wielkopolan, co właśnie w Szczecinie.

A zaczęło się to osiedlanie, powiedziałbym, wprost romantycznie, na miarę bohaterskiego eposu.

Po prostu Poznaniacy zdobyli Szczecin szturmem. Niech do potomności przejdzie ta krótka, mało komu znana, historia.

A było to tak. Dnia 3 maja 1945 roku poznańska straż pożarna i milicja na czele, z inżynierem Zarembą, wyruszyła na Szczecin, zanim mocarstwa alianckie zdecydowały się nam to miasto oddać.

Ten „pucz" jednak skończył się niefortunnie, gdyż ochotnicze oddziały szturmowe musiały się bez walki wycofać na Koszalin.

Nic to — inż. Zaremba, obecny prezydent miasta Szczecina i jego załoga doczekali się swego.

Oto między innymi powód, dlaczego Szczecin tak jest przez Poznań umiłowany, na czym źle nie wyjdzie, gdyż Wielkopolanie znani są ze swego zmysłu organizacyjnego.

Szczecin szybko dochodzi do formy. A był przez bombowce alianckie szpetnie zmasakrowany. 30 proc. legło w gruzach. I to tylko właściwie w czasie dwóch nalotów. Robota więc była odstawiona pierwszorzędnie, z precyzją, solidnie.

Szczęściem dla Polski Szczecin ocalał. P inien się nazywać... Szczęścin, tak jak Świnoujście nie powinno się nazywać Świnioujście.

Bo skąd u kaduka, Świnioujście (tak przeważnie mówią, piszą, drukują), gdy wyspę Uznam od wyspy Wołyń oddziela Świna, a nie jakaś Świnia.

Tyle dygresji w materii językowej. A że to nie moja parafia, tedy śpieszę do innej.

Historii Szczecina nie podaję. Niech ten załączony widok zamku szczecińskiego, mówi sam za siebie i za mnie.

Jest to przepiękny zabytek budownictwa dawnych książąt piastowskich, walny dokument w cegle i kamieniu naszych praw do tej ziemi.

Zamak ten to drugi polski Wawel. Niestety, wyszabrowany i spalony.

*

Piękny jest ten Szczecin. Co za miasto, z jakim zmysłem urbanistycznym uformowany!

Piszę o nim z entuzjazmem. Kontroluję swe wrażenia na drugi i trzeci dzień. I wciąż mi tego entuzjazmu mało i wciąż mi słów opisowych nie dostaje.

Skłamałbym, gdybym napisał, że tu wszystko w porządku, że nie zachodziły wypadki, które rzucały cień na to urocze miasto.

Wszystko przecież mija. Żywot zła nie jest długi. Nawet ten głośny szaber przeszedł już do historii, to już prawie mitologia.

Już się „ciuchów", maszyn do szycia czy pisania, patefonów, radioodbiorników nie przywozi się z Ziem Odzyskanych. To już są raczej ziemie... odszabrowane.

Element spekulacyjny już nie napływa do tej Kanady. Ziemie te wchłaniają czynnik twórczy, robotny, nastawiony na pracę długometrażową. Szczecin tak gwałtownie się rozwija, że ten wydrukowany reportaż za miesiąc, będzie już nieaktualny. Unikam więc cyfr, danych statystycznych. A przed rokiem nie było tu nic: niebo, ziemia i ruiny. Dzieje pionierskiego wysiłku na tej ziemi godne są filmowego scenariusza. Kto przyszedł pierwszy, rzecz jasna, że pozajmował lepsze sklepy, mieszkania, wille. Obecnie jest tu taki sam ścisk mieszkaniowy, jak w Warszawie; i kwaterunek szczeciński robi takie same kawały jak jego bratni organ w Warszawie. Szczecin jest zagęszczony. Przyjeżdżają ludzie z kapitałem, remontują domy, nawet budują nowe i ambicja budowlana tych pionierów sięga wyżej, aniżeli (nie przygadując Warszawie) przysłowiowy parter na Marszałkowskiej. Spotkałem faceta z solidnym brzuszkiem i solidnym złotym zegarkiem.

— To pan tu?

— Tak, ja tu. A pan co tu?

— Widzi pan, jak sobie nie pluć w brodę. Popatrz pan, ten hotel na prawo, widzisz pan, przed rokiem mógłbym go mieć za psi grosz. Zląkłem się, powiadali: niepewne, wojna, że z tymi Ziemiami Odzyskanymi to żaden zysk, że to taki polityczny tylko sezon.

Takich „frajerów" bez wiary w Polsce było więcej, ale i byli nie frajerzy. Zgadałem się z pewnym mechanikiem; spod Łodzi się wywodzi.

— Z początku było markotno — powiada — kobieta z dziećmi chciała wracać. Wziąłem na kieł. Nie, i basta. Czego mi brak? Mam małą willę pod miastem, jak dawniej jaki Poznański, czy Scheibler, ogródek mam, meble mam, mieszkam sobie po ludzku, jak jaki przedwojenny dyrektor. Szczecin wchłania ludzi i do siebie przywiązuje, jest to miasto wielkich możliwości. Wprawdzie jeszcze nie wytworzył się tu typ jednolitego obywatela, bo element osadniczy różnoraki, ale powoli ziemia i jednakowy tryb życia, wspólne zainteresowania uformują model człowieka zachodu. Już wspólna tym ludziom jest taka cecha charakteru, jak gościnność kresowa. Gdy się ze starej Polski przyjedzie w szczecińskie, to wcale nie trzeba brać na noc hotelu. Wystarczy mieć znajomego, którego się raz, kiedyś dajmy na to, widziało na ulicy w Warszawie czy Poznaniu, a ten cię niezwłocznie do siebie zaprosi, ugości, ufetuje.

Skąd to pochodzi, nie wiem. Jeśli nawet w tym jest odrobina próżności, chęć pochwalenia się i zaimponowania takiemu, który mieszka w Warszawie zagęszczony, lub jak troglodyta w norze, to nie ważne. Zresztą, mój Boże, ludzie są ludźmi. Ważne to, że na zachodzie rodzi się nowy człowiek. O tym Szczecinie i jego okolicy można by pisać a pisać.

Szczecin spółdzielczy z jego 12-ma oddziałami powiatowymi „Społem" z zakładami wytwórczymi, ze wspaniałymi magazynami; Szczecin jako port, jako baza morska dla połowów dalekomorskich, Szczecin jako miasto uniwersyteckie itd. To wszystko problemy nie jeden reportaż, nie na jeden choćby najobfitszy numer okolicznościowy, zadedykowany Pomorzu Zachodniemu. Stolica tej krainy staje się w oczach ziemią mlekiem i miodem płynącą, z którą człowiek zawiera już wieczyste śluby na długi łańcuch pokoleń.

Zapada zmierzch na ciche wody szczecińskiej zatoki.

Gwarzymy w przytulnym pokoiku rybaka Zaremby. Stół nakryty pluszową serwetą, patefon w rogu, obrazy olejne i oleodruki, połyskujące jasno - żółtym lakierem meble, lustra, dywan na podłodze i na środku stołu karafka z wiśniówką i węgorze w różnych gastronomicznych odmianach.

Zarembowie pochodzą znad Buga. Są bezdzietni. Są jeszcze młodzi, młodością dorodną.

— Jakże się tu pani podoba? — pytam młodej gospodyni, — będąc przygotowany na zawodzący wylew utyskiwań, narzekań i tęsknot, a tymczasem słyszę stanowcze:

— Ja wciąż mężowi powtarzam, że się stąd nie ruszę.

Na co Zaremba śmiejąc się:

— A czy ja cię z domu wyrzucam?

Pokazują mi swoje małe gospodarstwo, swój przychówek czworonożny.

Podziwiam, gratuluję i na odchodnym, patrząc na tych dwoje krzepkich, młodych ludzi, powiadam z poufałością, która w szczerym i gościnnym domu sama się narzuca:

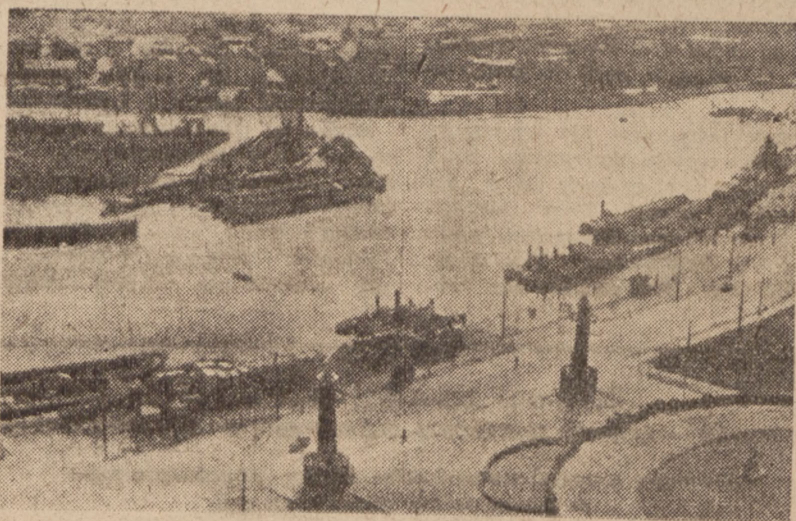
— Na przyszły rok chciałbym tu u was zobaczyć inny przychówek.

Zrozumieli, co mam na myśli, gdyż oboje na siebie zerknęli, potem oboje spojrzeli na mnie i oboje zdrowym uśmiechnęli się uśmiechem.

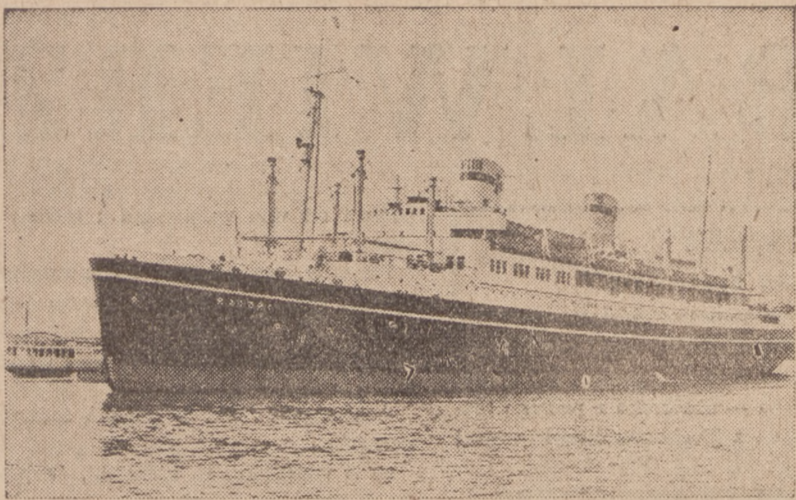
Na Pomorzu Zachodnim Polska rośnie.



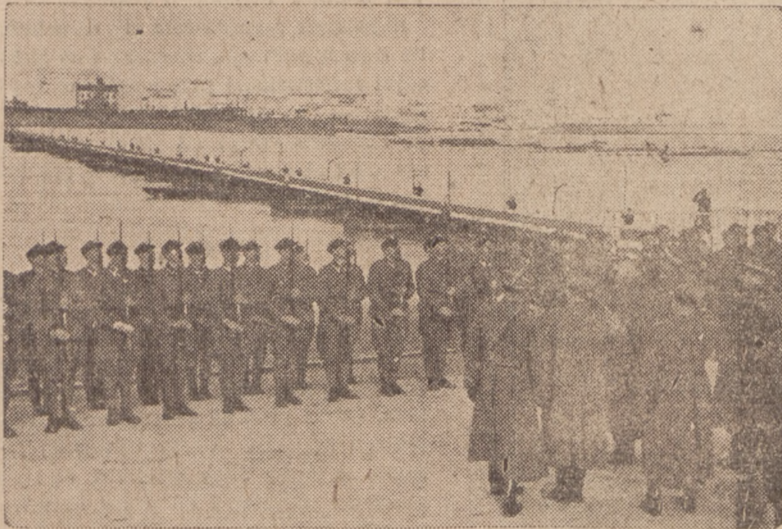
Zamek Szczeciński to przepiękny zabytek budownictwa dawnych książąt piastowskich walny dokument w cegle i kamieniu naszych praw do tej ziemi. Niestety, wyszabrowany i spalony.



Port w Szczecinie posiada warunki po temu, żeby stać się głównym portem Europy Środkowej.



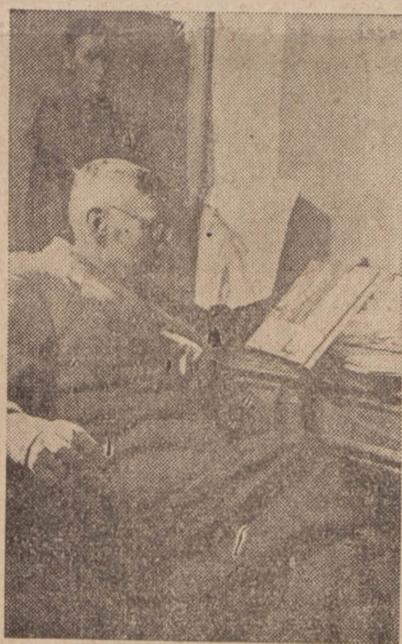
Statek „Batory" po odnowieniu w Antwerpii, rozpoczyna kursować pomiędzy Gdynią, Southampton (W. Brytania) i New Yorkiem.



Dwa mosty runęły w Warszawie wskutek powodzi. Saperzy, idąc w pomoc Stolicy, odbudowali most pontonowy między mostem Kierbedzia i Wysokowodnym. Na otwarcie mostu przybył Marszałek Rola-Żymierski, witany przez kompanię honorową saperów.



Teren trudny do przejechania... trzeba wziąć rower na plecy i maszerować piechotą.



Znakomity tenor Dygas w zaciszu swojego gabinetu.



Bieg kolarski na przełaj w Warszawie o Mistrzostwo Polski na r. 1947. Sędziowie wręczają Pietrzykowskiemu z Łodzi koszulkę Mistrza z Orłem i dyplom.

Film TYGODNIA

ZBUDOWALIŚMY NOWY DOM

Na Żoliborzu ukończono budowę nowego domu — XI-ej Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej



Pierwsi lokatorzy jadą



Skromne meble znosimy z furki.



A teraz w górę.





Urządzamy się w nowym domu

Julian Podoski

INŻYNIER I BALWIERZ

Fragment z książki „Stara ziemia – nowi ludzie"

Wieczorne cienie muskają mury Mariackiego Kościoła. Od plantów płynie zapach kwitnących jaśminów. Cichutko skrada się noc. Gdzie niegdzie okna krakowskich kamienic błyskają zapalanym światłem. W ich jednak, na drugim piętrze starej kamienicy, w zacisznym mieszkaniu, panuje wszechwładnie mrok. Mąż prowadzi dialog z żoną.

— Powinnaś zrozumieć kochana, że muszę wyjechać.

— Nie zrozumiem.

— Niedługo potrwa rozłąka. Zaraz po ustaleniu sprowadzę ciebie z dzieckiem.

— Nigdy. Gdybym wiedziała o twoich skłonnościach do włóczęgi...

— To byś za mnie nie wyszła?

— Może i nie...

Ujął ją za rękę:

— Nie pamiętasz mojej niedawnej tułaczki?

— Okupacyjnej? Przymus. Ucieczka przed niebezpieczeństwem. Ale teraz? Po wojnie? Gdy nareszcie możemy żyć spokojnie w Krakowie?

Wyrwała się z objęcia:

— Słyszysz? Wyprę się ciebie, jeżeli pojedziesz na ów „Dziki Zachód".

On przecież pojechał, lecz ona się go nie wyparła.

* * *

Nie łatwo jest wejść w życie takiego dziwnego kraju, który się nazywa Opolem. Szeroka równina pisana zygzakami wolno płynących rzek, bezdźwięcznie modli się do spłowiałej płachty sierpniowego nieba, przezierającego przez poszarpane kłęby szarych chmur. Podobną do nich jest dusza Opolaka. Patrzy nieufnie na przybyszów. W prowincjonalnej balwierni na milcząco pieni mydło na obrośniętej brodzie inżyniera. Krakowiak mimo to znalazł pretekst do rozmowy:

— Polska książka?

— Dlaczegoż-by nie miała być?

— Kochanowski?

— Chyba przeczytać potraficie, że to „Psalmy"?

— Lubicie je?

— Na tej książce kiedyś przed wielu laty, ksiądz Józef Wajda uczył okolicę połactwa. Proboszcz dawno umarł, ale w nas został Kochanowski i...

— Polska?

— Jeno że lepsza od tych, którzy tutaj od miesięcy wyciągają wszystko, że niby oni zniszczeni, a co tu jest to niemieckie...

Inżynier zamiast tłumaczenia, począł deklamować zapamiętany ze szkoły wiersz Jana z Czarnolasu: — „O białoskrzydła pławaczko, łodzi bukowa, któraś gładkiej twarzy pasterza Pryjamczyka mokrymi wód ścieżkami do Eurodowych brodów nosiła..."

— O, — zdziwił się balwierz w Zawadzkiem, w pow. Strzeleckim — to i takie wiersze Kochanowski pisał?

— Nie znaliście? No i innej Polski „stamtąd" nie widzieliście poza szabrownikami?

Chłop opolski zrozumiał i po raz pierwszy uśmiechnął się do przewodnika operacyjnej grupy przemysłowej z Krakowa.

* * *

Coś w rodzaju ugoru stanowi ogromna i opuszczona huta, ongi „Zawadzkywerk" i później za Hitlera „Andrejashuette". Jakby wielkie, z wnętrzności i serca wypaproszone zwierzę. Pozostał jeno duch, który nie wiadomo gdzie się ukrył i skromni opolscy ludzie, nie wiedzący, co się stanie, kiedy wywieziono wszelkie maszyny. Z pustych hal do łaknącego gardła nie nalejesz. Mimo to przybysz z owej Polski „ze Wschodu", chrzci ją pełnomocnym słowem:

— Odtąd, po wieki wieków, zwać się będziesz Hutą Andrzeja!

— Kto powiedział? — pyta zdumiony tłum autochtonów.

— Polska — stwierdza z powagą balwierz — on z Kochanowskiego więcej potrafi od wos wszystkich i mnie razem.

Inżynier, uśmiechający się zawsze pogodnie, rozporządza stanowczym słowem:

— Od jutra 300 ludzi stanie do roboty.

— Z czym? Werck nie ma żadnych narzędzi.

— Z własnymi, tj. ludzkimi, dopóki się w hucie nie dorobimy.

— Kto nam zapłaci, żeby jeść?

— Kraj i rząd. Nie prędko. Nie potrzebuje bać się głodu ten, kto ma las pod bokiem. Popatrzcie sami...

Popatrzyli rzeczywiście i usłuchali. Po dwu tygodniach, wieczorem do stancyjki inżynierskiej przywlekli ubitego kozła: — „na zdrowie nie tylko za to, że kochacie owego od „Psalmów" jak my ,ale i za waszą zajadłą pracę dla dobra wszystkich!"

* * *

Bursztynem zwiędłych liści sypnął hojny wrzesień. Zdawałoby się, że życie zamiera. Jednak huta ożywała. Coraz zuchwalej kręciły się rozpędowe koła. Coraz głośniej syczały prądy wysokiego napięcia. Coraz wyraźniej jaśniało w duszy Jana Kindlera, że i on powinien przystąpić do pracy razem z innymi. Wreszcie nie wytrzymał. Rankiem nadział obcisłe portczyny. Nacisnął kaszkiet i zaryzykował pójście do zarządu.

— Wiedziałem, że na pewno przyjdziecie — powitał go inżynier.

— Od 38 lat w tej samej hucie pracowałem. Tutaj chciałbym umierać...

— Do nas przychodzi się, żeby żyć.

— Można, i popracować?!

— Trzeba. Dlaczego zdecydowaliście się tak późno?

— Kindler, to nie bardzo po polsku.

— Ale sami jesteście Polakiem?

— Ja tak i ojciec Mateusz był, nie Mathias. Lecz pradziadowie przyszli z Westfalii. Byli specjalistami od wodnych hut. Za Fryderyków. Mieli niemczyć tutejszych, lecz stało się inaczej. Stali się Polakami.

— Kto ich nimi zrobił?

— Żony i później matki — Opolanki i opolska ziemia-Matka.

Dzisiaj Jan Kindler nie ma żadnych wątpliwości. Co do niego również żadne nie istnieją. Dziesiątki spolszczonych Foksów, Bromów, Kindlerów i Ludwików stanowią przodowników huty „Andrzej" w Zawadzkiem. Fryderykowie, i ci zwyczajni, i ów „wielki" w grobach się przewracają ze zdumienia, jeśli nie z wściekłości.

* * *

Nad opolską Odrą skrzą się w słońcu płachy bliźniaczo podobne do mazowieckich. Niesie je wiatr. Ciska nimi w oczy przechodnia, któremu zła myśl nasuwa przypuszczenie: — „chyba z piasku bicza nie ukręcisz?" Jednakże życie potwierdza, że na miejscu dzieje się inaczej. Czaje i Bednarze, Kaczmarczyki i Oczkowie, Spalki i Ziaje, krew z krwi i kość z kości z tutejszej ziemi, wzięli się za bary z losem. Wygrali. Huta „Andrzej" idzie.

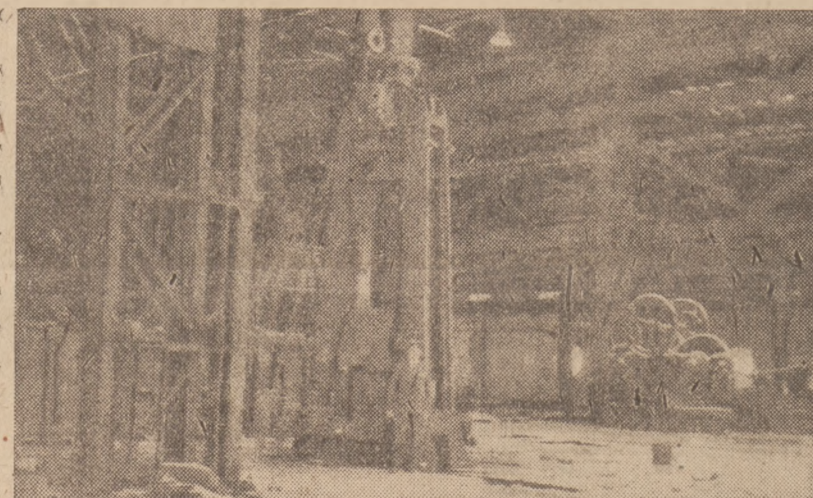
— Dzięki komu? — pyta sławny balwierz — mówcie!

— No któż by to zrobił, jeśli nie on, inżynier.

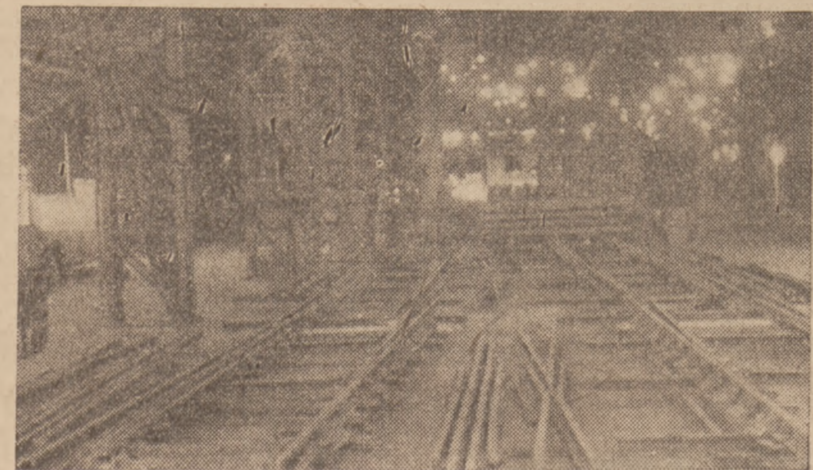
— Ów nowy człowiek, co przyszedł na naszą starą ziemię. Wiecie dlaczego tak się zrobiło i nie inaczej? Tak jak z jałową kaszą, dopóki szczypty soli nie



Tak było, kiedy przejmowaliśmy hutę „Andrzej".



Sławny młot w hucie „Andrzej".



Budowa rozjazdów kolejowych.



Osada „Zawadzkie" w szacie zimowej. Fot. J. Podoski

dorzucisz. Wtedy robi się do rzeczy i smakuje. Wtedy dopiero jest jadło. Kasza to my, sól to inżynier, jadło — dla Polski. Ino wymieszać trzeba. Porządnie. Stare z nowym i...

Golibroda zawadzki niespodziankę szykuje sąsiadom i kmotrom:

— Muszę wam powiedzieć bez żalu, że więcej waszych bród drapać nie będę!

— Jakto, dlaczego?

— Omówiliśmy się z inżynierem, że nie dosyć reperacji wagonów. Za mało budowy rozjazdów kolejowych. Młota nam trzeba, żeby kuć. Parowego. Będzie...

Młot automatyczny, to największe marzenie huty Andrzej — marzenie, które się iści. Jak bicze z piasku — ze złomu, resztek, starych części. Wyczarowany zajadłością inżyniera i fryzjera entuzjasty.

* * *

Łuna rumieni się nad hutą. Rzuca krwawe blaski na ośnieżony świat w Zawadzkiem. Zmiana pracuje. Osada śpi. Śpi już również smacznym snem mały Franciszek obok matki, która po raz dziesiąty odczytuje kartkę pisaną do ojca, b. żołnierza armii niemieckiej, przebywającego dotąd w niewoli w Rumunii:

„Kochany Ojciec, — odtąd nie będę do ciebie pisać po szwabsku: „Lieber Vatti". Dosyć czegoś takiego. W Zawadzkiem inaczej teraz się robi. Ty także powinieneś wiedzieć. Wszyscy budują Polskę, jakiej nie było. Powiadam tobie, że wszędzie. W szkole wszystko po polsku i nikt nie namawia żeby gadać po niemiecku. Zrozumiałeś? Całuję ciebie i powiadam, żebyś się śpieszył, bo możesz się spóźnić".



Dyr. Techniczny huty „Andrzej" inż. Czarny i najstarszy pracownik Jan Kindler.

Kobieta parsknęła śmiechem. Na chwilę zbudził się Franciszek:

— Nic, nic. Śpij znowu, jeżeli będziesz grzeczny, dostaniesz niedługo Christbaum...

— Jakeś powiedziała?! Nie Christbaum, ale choinka, albo boże drzewko. Już ciebie przecież uczyłem, nie?

* * *

Dymi wielki komin Huty „Andrzej". Kawki radośnie łażą po dachu fabrycznej stołówki. Zapachem pieczonej wieprzowiny ciągnie od kuchni i wiosną od niedalekiego lasu. Gospodarz przekomarza się z dziewczętami — dziewki z nim:

— Bo u nas, na Opolu ładniej jak w jakimś Równym. Powiedz pan sam, czy nie prawda?

— Mówi się w Równem, a nie w Równym. To na Wołyni. Śliczności, co za kraj. I dęby jakie. A kabany, dzikie znaczy się, w boru chodzą, pod Klewaniem, że prosto słonie. A u was?

— Jakie „u was"? A pan gdzie, na cudzym? W Zawądzkiem dla wszystkich ta sama ziemia polska. Rozumiecie gospodarzu?

Rozumie i przez łzy się uśmiecha. Trochę z radości, że dobrzy są tutaj dla niego. Trochę z tęsknoty za dawnym. Życie jednak woła o swoje prawa. Tymbardziej, że na zakręcie pokazuje się inżynier. Sunie prędko, czasu ma mało, ale głód glodem. On i tamtego sprowadził. Toteż stary zrywa się na równe nogi.

— Zaraz — zarałeńko pieczeń będzie, że palce lizać.

—Z kozła może?

— Słyszałem, słyszałem i o tym, że był taki czas, kiedy pan inżynier tego samego koziołka jadał i jadał, aż resztki po talerzu, same chodzić zaczynały... Teraz już inaczej.

— Inaczej — potwierdza i naraz kamienieje, śni mu się, czy co — Zośka?

* * *

Od samego ranka była w hucie rewia generalna. Przodem szedł inżynier i ukazywał żonie dorobek ludzkiej pracowitości. Obok kroczył balwierz zatroskany, czy aby wizytacja dobrze wypadnie, bo inżynierowa to przecież taka, co pisuje w gazetach, w Krakowie. W pięknej defiladzie mijają ich hale za halami. Załoga wodzi dobrymi oczyma. Wszyscy już wiedzą, że to — ona.

— Widzisz, i jednak nie zerwałaś, ale przyjechałaś...? Pewno jednak zaraz wracasz?

— Ten to jest ów nasz młot — oznajmiła były fryzjer i duma go rozpiera.

— Wiesz Jerzyk, że kwokę przywiozłam?

— To zaś są kotły, które będą poruszały młot — wieści miłośnik „Psalmów" — wymaniliśmy w innej fabryce, dali się nabrać i nam odstąpili...

— Śliczne, Jurek, nie mogłam przyjeżdżać z pustymi rękami! Rozumiesz?

— Słowo daję, że nic nie rozumiem. Świat się przewraca do góry nogami. Ty tutaj. Kwoka. Kurczęta pewno będą, co?

— Będą — raduje się Zośka — i nie tylko...

— Będziemy kuć jak pierony. Pani pojmuje, co to znaczy dla Huty „Andrzeja" dla ludzi, dla całej osady?

Zośka z Krakowa głaszcze balwierza po ręku. Mężowi cichutko ot tak, po prostu, szepcze do ucha:

— Nie tylko kurczęta będą, ale i... i... nowy człowiek się urodzi na twojej starej ziemi... Słyszysz, Jureczku...?



Przodownicy w pracy w hucie „Andrzej"

Słyszy. I on. I Huta „Andrzeja". I stara Ziemia Opolska. Nawet wytrwały budowniczy młota coś dosłyszał. Zaczerwienił się jak piwonia. Gdy inżynierowa spojrzała podejrzliwie, pochylił głowę i myśląc o swoim rzekł z namaszczeniem:

— Wiadomo, że gdy jest młot to musi być i produkcja...

— Co on gada? — odwróciła oczy do męża — o czym on myśli?

— O tym samym co, ty, i dla tej samej ziemi, jeno w innej interpretacji...

Stara Ziemia raduje się pierwszym brzaskiem wiosny. Puchną pąki na drzewach. Wraca ptactwo z dalekiego wyraju. Do domu — do swego starego DOMU!



Jan Żerkowski

SPOŁDZIELCZOŚC NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH



Gmach „SPOŁEM" w Szczecinie.

Warunki, w jakich znalazły się Ziemie Odzyskane bezpośrednio po ustąpieniu wojsk niemieckich, były odmienne od wszystkiego, co zna historia nowoczesna. Niebywała w dziejach falanga wielu milionów ludzi gnała w przerażeniu na zachód, za Odrę, za Łabę, aż po Ren, porzucając domostwa, sklepy, fabryki i rolę. Pchała ich na oślep groza nadchodzącego zwycięzcy, ale pchało ich również poczucie zagrabionego przez wieki cudzego mienia.

Do pierwszych pionierów, idących bezpośrednio za władzami administracyjnymi, należały grupy operacyjne Związku „Społem", które się znalazły na tych terenach już w pierwszej połowie 1945 roku. Wyposażeni w kilkadziesiąt tysięcy złotych kapitału i jeden samochód ciężarowy, ci działacze ruchu spółdzielczego stanęli wobec zadań sprzecznych z wszelką tradycją i doświadczeniem. Nie mieli oparcia o spółdzielnie — przeciwnie, musieli sami stwarzać warunki, umożliwiające powstanie spółdzielni. Nie było punktów stałych do zaopatrywania. Potrzeba zatem było w pierwszym rzędzie zająć się sprawą osadnictwa, dążyć przez zorganizowanie aprowizacji do szybszego nasiedlenia tych terenów.

ZAOPATRZENIE LUDNOSCI

Państwo zaś wywierało na Związek „Społem" nacisk w kierunku zorganizowania zaopatrzenia napływającej ludności. Centrala „Społem", sama dopiero przychodząca do sił po straszliwym spustoszeniu okupacyjnym, starała się przyjść z pomocą swym pionierskim placówkom. Dla zebrania informacji i dla skoordynowania wysiłków stworzony został z dniem 1 lipca 1945 r. Referat Ziem Odzyskanych, jako organ wykonawczy Podkomisji Spółdzielczej dla Ziem Odzyskanych. Od tej pory główne bolączki nowych placówek, jak brak odpowiedniego personelu i kapitału obrotowego oraz środków komunikacyjnych, poczęły zwolna ustępować. Placówki otrzymywały z Centrali ludzi, kredyty i samochody.

Już od 1 października 1945 r. liczono oddziałów i składnic powiatowych 73. Pod koniec roku liczba oddziałów wzrosła do 89, a liczba pracowników do przeszło 3.000.

Nie ma jeszcze dostatecznych danych statystycznych za cały 1946 rok, ale w dniu 1 października w 112 powiatach zachodnich terenów istniało 1.730 spółdzielni różnego rodzaju, zrzeszających 196.460 członków. Z tej liczby na Śląksu Opolskim było 240 spółdzielni, na Pomorzu Zachodnim — 419, na Śląsku Dolnym — 540 i na Mazurach — 214. Najwięcej było spółdzielni spożywców, bo 676; na wsi najliczniejsze są spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej. Poza tym także rozwijają się spółdzielnie innych typów.

Na Ziemiach Odzyskanych wciąż powstają nowe spółdzielnie, w chwili obecnej jest już ponad 2.000 z około 300 tysiącami członków.

Na koniec 3 kwartału roku ubiegłego na Ziemiach Odzyskanych istniało 2.815 sklepów spółdzielczych; ponadto spółdzielnie prowadziły 426 wytwórni artykułów pierwszej potrzeby, przeważnie piekarni. Za 9 miesięcy 1946 r. największy obrót wykazały spółdzielnię Dolno-Śląskie: 2 miliardy 308 milionów, następnie Szczecińskie — 1 miliard 398 milionów, potem Gdańskie — 794 miliony, Opolskie — 725 milionów, Olsztyńskie — 457 milionów itd. Na miasta przypada około 40 proc. obrotów, na wieś — 60 proc. Wszystkie spółdzielnie zatrudniały w tym czasie 18.522 pracowników.

6.609 PRACOWNIKÓW

W dniu 1 stycznia 1947 r. sieć gospodarcza „Społem" na Ziemiach Odzyskanych przedstawiała się jak następuje: oddziałów hurtowych było 104, zatem tylko w 8 powiatach nie ma hurtowni spółdzielczych. W miastach wojewódzkich istnieją okręgowe oddziały spożywcze, rolnicze, przemysłowo - rolne, mleczarskie, które utrzymują kontakt ze wszystkimi spółdzielniami w terenie. „Społem" prowadzi też 67 własnych zakładów przemysłowych, nie licząc dużej ilości młynów, które ostatnio przejęło od państwa. „Społem" zainwestowało w budynki i urządzenia placówek handlowych 184,5 miliona złotych, placówek wytwórczych — 135,4 miliona złotych. Liczba zatrudnionych przez „Społem" na Ziemiach Zachodnich wynosi 6.609 osób.

W ciągu ubiegłego roku obrót placówek „Społem" na Ziemiach Odzyskanych wynosił ponad 12 miliardów złotych.

Spółdzielczość na Ziemiach Odzyskanych rozwija się z miesiąca na miesiąc. Dotąd objęła czwartą część ludności i tylko część obrotów gospodarczych. Na przeszkodzie szybszemu postępowi stoi brak lokali i funduszów.

Centrale spółdzielcze robią wszystko, co do nich należy, aby pomóc ludności w organizowaniu się spółdzielczym. Poza aparatem miejscowym Związku Rewizyjnego, Związek „Społem" ostatnio obsadził we wszystkich powiatach instruktorów, którzy obowiązani są czuwać nad rozwojem istniejących spółdzielni i powstawaniem nowych. W Jeleniej Górze, w Łagowie na Ziemi Lubuskiej, w Łuczanach na Mazurach, w Międzyzdroju i Ustroniu nad Bałtykiem istnieją ośrodki szkolenia spółdzielczego dla pracowników „Społem" i spółdzielni.

PIERWSZE PISMO LUDOWE WE WROCŁAWIU

„GAZETY ŚLĄSKIE DLA LUDU POSPOLITEGO"

wychodzą już od XVIII wieku

Tradycje piśmiennictwa polskiego na Mazurach i Warmii są bardzo stare.

Ziemie te są kolebką prasy polskiej, nie Kraków, ani Warszawa, czy Poznań.

W latach 1718—20 ukazuje się w Królewcu tygodnik „Poczta Królewiecka", kiedy w Warszawie zjawia się „Gazeta Narodowa" w kilkadziesiąt lat później, bo dopiero w 1791 roku.

Drukarnie na Mazurach powstają w tym samym okresie, w którym zjawiły się po raz pierwszy w Krakowie.

Nauka, sztuka, piśmiennictwo kwitły tu i rozwijały się bujnie.

Nie jesteśmy tu, jak Niemcy, bez tradycji. Nic potrzebujemy tu tradycji tworzyć. My ją tam kontynuujemy.

Zaborca pilnie niszczył wszelkie ślady cywilizacji polskiej.

Wielu też szczegółów z dziejów naszej kultury na Ziemiach Odzyskanych musimy się dokopywać spośród grubych warstw kurzu zapomnienia.

Kto z nas już wie, że jeśli Pomorze Wschodnie było kolebką prasy polskiej, to na Dolnym Śląsku stała kołyska pierwszej gazety dla ludu?

Jest to, przypuszczam, rewelacja dla niejednego nawet badacza dziejów prasy polskiej.

Nikłe są tego faktu ślady, tak nikłe, że prawie niedostrzegalne, bo cóż z tej pierwszej gazety ludowej pozostało oprócz nazwy i kilku strzępów jednego czy dwóch numerów.

Ale ważne to, że dowód pozostał. Nazywało się to pierwsze pismo w Polsce: „Gazety Śląskie dla ludu pospolitego".

Niepospolity to jednak musiał być ten lud śląski, skoro gazeta ta powstała bodaj na dwa, czy trzy lata przed warszawską „Gazetą Narodową".

Z pisma tego dochowała się „Kartka II z Miesiąca Lutego 1790 r., słownie: tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku".

Z zachowanego strzępu niepodobna określić domicilu drukarni, to jest miejsca druku, ponad wszelką wątpliwość tylko na podstawie badań językowych, używanej w tym piśmie gwary, daje się ustalić, że pismo wychodziło na Dolnym Śląsku.

Niemniej przemawiają za tym treści artykułów.

Według przypuszczeń najbardziej uprawdopodobnionych miejscem ukazywania się tego pisma był Wrocław, żyjący jeszcze w tym okresie polskimi tradycjami.

„Jakiż charakter miało to pismo?

„Gazety Śląskie dla ludu pospolitego" poświęcone były wyłącznie życiu wsi i chłopa dolnośląskiego, gdyż przynosiły rady gospodarcze, pouczenia dla rolników, dotyczące chowu bydła, leczenia zwierząt domowych, wskazówki lekarskie, zalatujące znachorstwem, mimo że z treści niektórych artykułów przebija tendencja walki z gusłami i zabobonami.

Polszczyzna tych artykułów reyowska, piękna choć tęga, jędrna, dostosowana do poziomu wiejskich warstw pracujących.

Język nieozdobny, bez makaronizowania, prosty, powszedni, takim właśnie, jakim operuje szara ludowa pospolitość, tak jak mówi chłop do chłopa.

Oto przepis na leczenie oparzenia:

„Sparzywszy sobie palce albo ręce, wrzuć garść popiołu do szklanki, albo garnuszka, przyley tyle octu (kwaśnego) tęgiego, aże sie bryia gesto stanie, a wraz do niej palce, albo przyłoż do członka spalonego a zawiaz.

Boleści wnet ustana, a twarda pozostala skóra za kilka dni sama się odlupi".

Co o tym przepisie powiedziałaby dzisiejsza medycyna?

Nie o to zresztą chodzi. Ważne jest to, że pierwsze pismo ludowe powstało na Śląsku już w wieku XVIII, wyprzedzając tym pozostałą Polskę.

L. S.

Z Salonu Warszawskiego



Roman Żukijanow — Ewa.
Rzeźba — marmur.

Wspomnienie o Bujnickim

Nie pamiętam gdzie czytałem dowcipną historyjkę o Ignacym Daszyńskim i hr. Wł. Michałowskim, który był starostą galicyjskim w owych czasach, gdy Daszyński grzmiał z trybuny parlamentarnej w Wiedniu. Socjalita i hrabia-biurokrata byli to, naturalnie, przeciwnicy polityczni, ale ludzie wysoce kulturalni. Spotkali się, pewnie u Sachera, po jakimś wystąpieniu parlamentarnym Daszyńskiego. — Ładnie mnie pan ubrał wczoraj, panie pośle, — powiedział Michałowski: — błazen, idiota, złodziej grosza publicznego! — Czy to może coś panu hrabiemu zaszkodzić? — zaśmiał się Daszyński. I trącili się kieliszkami.

Podobny dialog odbył się między mną a Teodorem Bujnickim w r. 1934 w Wilnie, gdy Bujnicki wydał swoich „Osiemnaście ohydnych paszkwili na wilnian", które przypomniał nam Jan Huszcza ex re „Rzeczywistości" Putramenta („Tydzień" nr 14/38), a w których mnie określił jako „wazeliniarza" i „wesz". Pocieszyłem się natychmiast tym, że oprócz mnie dostało się również siedemnastu innym wilnianom, natomiast zmartwił mię fakt, że Bujnicki ogłosił tę książeczkę bezimiennie, nie mając odwagi podpisać się nazwiskiem, choć — oczywista — wszyscy go poznali po stylu i ciętości pióra.

— Ależ pan mię urządził, drogi panie Dorku — powiedziałem do niego, spotkawszy go na ulicy (nikt w Wilnie ani do niego, ani o nim nie mówił inaczej niż — Dorek): — niech mi pan przynajmniej powie, czy się to panu opłaciło?

Bujnicki machnął ręką: — Proszę pana, chodźmy lepiej na wódkę.

Biedaczyna — pomyślałem w duszy: — więc może go jeszcze wydawcy wykiwali. Książeczkę bowiem wydali mu różni sanatorzy (między innymi oryginalna instytucja wileńska — tzw. „Klub Włóczęgów"). Bujnicki pisywał wówczas w sanacyjnym „Kurierze Wileńskim" (dopiero potem przeszedł do Słowa *). A „Kurier Wileński" nie mógł mi długi czas zapomnieć, że go przedstawiłem w alegorycznej bajeczce jako wiernego pieska każdego wojewody, pieska wabiącego się trochę nieładnie, bo Kur. Wil., podobnie jak Trembecki przedstawił niegdyś siebie w postaci Kiopka, „faworytnego szpica" St. Augusta. Wojewodowie głaszczą pieska po głowie i powtarzają: ty jeden jesteś nam wierny, drogi, kochany Kurwilku. Na to mógł odpowiedzieć tylko taki złośliwiec jak Bujnicki. A że ja pisywałem wówczas felietony w „Słowie", które było „na żołdzie" krwiopijców Radziwiłłów, że epitet „wazeliniarz" był wówczas w modzie — i nie tylko wazeliniarz, ale i „bez mydła" i „sansawonista" — więc jakże go nie użyć, kiedy się tak zgrabnie nadaje? To samo „wesz". Skrót „Wysz", jakim się podpisywałem, aż się prosił o taką grę słów, o kalambur. Bo Bujnicki był urodzony kalamburzysta, epigramatysta i pamflecista. Stary Boileau powiada mądrze: „La nature, fertile en esprits excellents, sait entre les auteurs partager les talents: l'un peut tracer en vers une amoureuse flamme, l'autre d'un trait plaisant aiguiser l'épigramme": sama natura odpowiednio obdarza talentami świetne umysły: jeden będzie piewcą miłości, drugi wyostrzy się w układaniu epigramatów.

Wybitny talent poetycki Bujnickiego, rozpalany właściwym mu w wysokim stopniu duchem przekory i chęcią „epatowania" mieszczucha, był pokrewny talentowi takich pamflecistów, jak Aretino, Piron, Scarron, Voltaire, Heine, wreszcie Puszkin, na którego epigramatach ćwiczył się Dorek specjalnie i przekładem jednego z nich („Ex ungue leonem) zamknął swoje „Osiemnaście paszkwili". Do Dorka przystawały wyjątkowe słowa wielkiego poety: „Ich bin kein glatt geschrieb'nes Buch: ich bin ein Mensch mit seinem Widerspruch": nie jestem gładko zapisaną księgą: jestem człowiekiem ze wszystkimi jego sprzecznościami.

Sprzeczności i pasja satyryka-ironisty, która była jego żywiołem, ponosiły go nieraz za daleko: mógł pisać jedno pod swoim nazwiskiem, co innego pod pseudonimem „Nieściuszko", co innego jeszcze jako „Billard". Nadmiar pseudonimów bywa niebezpieczny, bo autor może śród nich zatracić swoją osobowość i gotów nieraz pod pseudonimem zrobić to, czego by się wstydził zrobić pod nazwiskiem. Bujnickiemu groziło to niebezpieczeństwo, szczególnie gdy zaczął pisywać i tu i tam, tu jako Nieściuszko, tam jako Billard, czy naodwrót. Ci, którzy byli jego przyjaciółmi — zaliczałem i siebie do nich, zwłaszcza że go pamiętam z jego czasów gimnazjalnych — ci rozumieli Dorka i nie mieli mu tego za złe, wiedząc, że bez epigramatów nie mógłby żyć, jak ryba bez wody. Talent i artyzm można rozgrzeszać, można im wiele darować, osobliwie jeśli mieszkają one w tak miłym i sympatycznym człowieku, jakim był ten niewysoki, zawsze uśmiechnięty, okrąglutki, spragniony życia pyknik, który wylewał z siebie „jad" nie z zamiarem dokuczenia bliźniemu, a con amore — „iż lubwi k iskustwu", bo już tak musiał, tak był stworzony, jak Daumier musiał wszystko karykaturować, jak Zaruba nie widzi inaczej naszych twarzy, niż groteskowe.

Ale, oczywista, nie wszyscy i nie zawsze rozumieją „ducha sprzeciwieństwa" i „Widerspruchy" artysty. Bywają np. takie czary — okrutne, wojenne, rewolucyjne, rozżarzone od walk, namiętności i najsprzeczniejszych dążeń — czasy, kiedy to — jakby powiedział Anatol France — „bogowie łakną krwi", i w czasach takich sprzątają nagle jedni ludzie z widowni życia innych ludzi. Nieporozumienie? Omyłka? O tym sądzić trudno, gdy się nie ma należytej perspektywy historycznej. Czasy takie nie są dla „epigramatystów". I, być może, jakiś fatalny zbieg okoliczności spowodował, że Bujnicki zginął jesienią r. 1944 w Wilnie z wyroku organizacji podziemnej. Nie byłem tam wówczas, nie znam tego wypadku dobrze, słyszałem o nim relacje rozmaite: nie mogę więc o nim wypowiedzieć zdania. Takie sprawy wyświetla tylko historia.

Teodor Bujnicki pozostawił, oprócz wielu wierszy rozrzuconych w pismach i wielu rękopisów, dwa przede wszystkim tomiki poezji: „Poomacku" (r. 1933) i „W połowie drogi" (r. 1937). Tytuły obydwu są znamienne, świadczące, że mamy do czynienia z prawdziwym poetą — zwłaszcza tytuł drugiego, dantejski tytuł, wzięty z pierwszej pieśni „Piekła", a oznaczający, że poeta staje w połowie drogi żywota swego, to znaczy przekracza trzydziestkę.

Gdy się ten drugi tomik ukazał, pisałem o nim: „Pierwsza połowa drogi poetyckiej Bujnickiego, przebyta Poomacku, poświęcona była zdobywaniu wartości formalnych. Architektonika doskonałej formy została przez Bujnickiego osiągnięta. Stanąwszy w połowie swej twórczej drogi, poeta zaczyna się zastanawiać: czy prawda jest pod mikroskopem? Czy świat, co go otacza, jest mitologią? Nie rozstrzygnie tych zagadnień, i nie chodzi o to, by je rozstrzygnął; rzecz w tym, że gdy zacznie potrzeć na rzeczywistość jak na świat niewymierny, śród którego on — poeta — musi zająć jakieś miejsce, jego zdanie o sobie stawać się będzie coraz skromniejsze, lecz jednocześnie rosnąć będą jego zdolności poznawcze..." Tak tedy, w Bujnickim — jak to często z poetami bywa — pod maską niepoprawnego ironisty krył się czujący i gorący filozof.

Jak słychać, „Czytelnik" zamierza teraz wydać puściznę literacką Bujnickiego. Byłoby dobrze, żeby ją przygotował do druku i opracował krytycznie któryś z dawnych żagarystów, kolegów i przyjaciół Bujnickiego. Miłosza nie ma w kraju. Ale jest w Krakowie Jerzy Zagórski, który z pewnością zrobiłby to najlepiej

Jerzy Wyszomirski

*) Leży oto przede mną jeden z niedzielnych dodatków literackich „Słowa" z r. 1938 — z taką konstelacją nazwisk: Bujnicki, Nowaczyński, Ossendowski, Putrament, Wyszomirski, Zawodziński, Zbyszewski... Pismo to, niczem „Wiadomości Literackie", umiało łączyć krańcowości.

KONGRES (VI) WE FLORENCJI

(Opowiadanie historyczne)

Opowiadała Krasowiczowi o piękności Fiesole, o słomkowych kapeluszach, jakie tam plotą, o Luśniaku, którego bardzo, ale to bardzo lubiła, bo to wesoły i bardzo dobry w gruncie rzeczy człowiek. Potem milczała przez chwilę.

— A co pan robi po kongresie? — spytała nieoczekiwanie.

— Chciałbym jeszcze zostać na parę dni we Florencji — spokojnie powiedział Manu.

— Bo ja chciałam panu coś zaproponować. Poprosić pana o coś: ja wyjeżdżam pojutrze do Paryża przez Niemcy; mam zamiar zobaczyć Heidelberg, Rothenburg, Frankfurt nad Menem... W samochodzie mam dużo miejsca, niech pan jedzie ze mną. Z Niemiec wróci pan sobie do Polski, a ja do Paryża. Zgadza się pan?

— Miałem zupełnie inne projekty...

— Niech pan pomyśli. Zresztą to dla pana bardzo korzystne. Vous etez invité.

— Namyślę się — uśmiechnął się bezradnie Krasowicz.

Właśnie dojechali na czarodziejski wzgórek. Wysiedli z samochodu na rynku i poszli oglądać słynny widok. Dnie były krótkie i słońce już zachodziło. Gdy szli stromą ścieżką w górę ku ostatniemu występowi skały, minął ich profesor Cieliński w wielkiej zielonej pelerynie i towarzyszący mu Luśniak. Ten ujrzawszy hrabinę Soudray z Emanuelem zrobił wielkie oczy.

Dolina Arna pławiła się cała w purpurowym złocie. Ta sama Florencja z tą samą kopułą katedry leżała w dole i za nią te same wzgórza koloru irysów, a jakże wszystko wyglądało inaczej niż wczoraj. Krasowicz z pewnym zdziwieniem spostrzegł w dole po tamtej stronie rzeki, małą platformę z posągiem Dawida na cokole. Tam stał wczoraj z Carlą przepełniony pięknem i szczęściem, z którego dzisiaj na pozór nic nie zostało. Teraz tutaj wyżej i piękniej, stoi z piękniejszą kobietą i pełen jest ironii, mściwości, a może i zagubionego żalu. Czuje się trochę jak sierota, żal mu, że nie ma matki w pobliżu; już sama jej obecność zniszczyłaby w nim wszystkie złe uczucia. Spojrzał na panią Soudray. Była tak niewymownie, tak czysto piękna w jaskrawym świetle jesiennego zachodu, na tle fiołkowej doliny Arna, więdnącej w głębi, przerażającej się w płaszczyznę w stronie Prato, Pistoi i Lukki. Ta pani chce jechać z nim do Niemiec. Zobaczyć romantyczne ruiny heidelberskiego zamku! Zaznać romantycznej jesiennej podróży z taką kobietą!

— Biedna Carla — szepnął do siebie mimo woli.

Czas mijał, trzeba było wracać. Jeszcze zastali jakiś wykładzik w salach uniwersytetu, podano im jakąś skromną przekąskę i trzeba było jechać do teatru. Krasowicz znowu wziął taksówkę i znowu znalazł w pensjonacie rumor i nieporządek. Tym razem Luncchesi nie szalał. Przeciwnie skakał na zdrowej nodze bardzo zadowolony i przypatrywał się Carli, która stała pośrodku jadalni, ubrana jak czupiradło i powtarzała z przekonaniem:

— Ma molte bene, e benone, benissimo...

Kiedy Emanuel wszedł do pokoju, Carla rzuciła się ku niemu załamując ręce.

— No, niech pan patrzy, co ze mnie zrobili. Ja tak nie mogę iść do teatru!

Rzeczywiście Carla wyglądała okropnie. Wyciągnięto z szafy jakąś odwieczną suknię panny Goethe, nieodpowiednią dla młodej dziewczyny, szarą, jedwabną, z sutymi koronkami, i nałożono ją na Carlę. Brosza z weneckiej mozaiki spinała tę koronki, na rękach brzęczały bransolety z dętego złota, ale najstraszniejsze było uczesanie; włosy Carli podniesione w górę i całe ułożone w drobne loki. Góra czarnego pierza obnażała jej kruchą szyjkę i rozrastała się rzeczywiście w jakieś ptasie pióra, ocieniające nieładnie jej czarną twarz. Najgorsze było to, że Carla widocznie całe popołudnie płakała, i twarz jej okrywały czerwone plamy, a oczy były zapuchnięte.

Emanuel zatrzymał się ze ściśniętym sercem, a Lucchesi podskoczył do niego.

— Co to za głupia dziewczyna — wołał to groźnie, to błagalnie — zamiast się cieszyć, że pojedzie do teatru, rozpacza jak sowa. Przecież doskonale wygląda, prawda, doskonale wygląda?

Przerażona panna Goethe przenikliwie spoglądała zza Carli na młodego Polaka. Krasowicz zacisnął pięści.

— Oczywiście, doskonale — bąknął — tylko to uczesanie!

— No, właśnie, niech pan sam powie — ja tak nie mogę jechać! — jęczała Carla, jednak z pewną nadzieją w głosie, że Emanuel jej gorąco zaprzeczy.

Ale Emanuel milczał, nie wiedząc co robić.

— Ja wiem — zawołała nagle panna Goethe — damy jej mantylkę, ta jej zakryje uczesanie.

— No, i jabym zmienił suknię — zdecydował się Krasowicz — na gładką czarną. Tak jak pani chodzi codzień. Wtedy ta broszka może zostać będzie ładnie wyglądała. I bransoletki, nawet można jeszcze coś dodać.

Carla popatrzyła na niego z wdzięcznością i zwróciła się do panny Goethe:

— Widzi pani, a ja mówiłam...

— To moja najlepsza suknia — powiedziała panna Goethe lekko dotknięta.

— Jeszcze mamy czas, niech panie spróbują — powiedział Krasowicz — ja sam muszę jeszcze włożyć frak. A pani wie jak to jest ze spinkami u gorsu... zdążymy.

W gruncie rzeczy już było późno, ale wolał wejść z Carlą do loży po podniesieniu kurtyny, kiedy już nikt nie będzie zwracał na nich uwagi.

Zanim włożył frak, Carla przebrała się. W czarnej gładkiej sukience, z pretensjonalnymi lokami, ukrytymi pod mantylką, bardzo upudrowana, wyglądała jeszcze możliwie, choć nieświeżo. Granatowe cienie leżały pod jej oczami. Manu spojrzał na nią z czułością. Wreszcie pojechali: Carla w taksówce wkładała przybrudzone białe rękawiczki pachnące benzyną. Było mu bardzo smutno.

Do loży weszli w połowie pierwszego aktu, profesor już tam siedział. Carla zapatrzyła się cała na fantastyczną akcję, wsłuchała się w nadnaturalnie piękny śpiew. Twarz jej pobladła pod pudrem, oczy błysnęły, cienie mantyli i powiek powiększały ich przepaścistość; od czasu do czasu odrzucała głowę, jak gdyby się chciała pozbyć natrętnego snu, jakby się chciała otrząsnąć z widzenia, które stawało się niebezpieczne, tak było piękne. Emanuel patrzył na nią z rozczuleniem. Wszystko, co było w jego uczuciach małością, zgasło; ukłucie w sercu świadczyło, że kochał ją, ową biedną, małą, opuszczoną Carlę, źle uczesaną, źle upudrowaną, ale pełną takiego szczęścia. Carla raz tylko w czasie tego aktu obrzuciła szybkim spojrzeniem Krasowicza, ale w tym spojrzeniu było tyle wdzięczności, podziwu i lęku, że Krasowicz stracił na chwilę oddech.

Napisał
JAROSŁAW
IWASZKIEWICZ

Nastąpił antrakt. Wszystkie loże w jasnym świetle okazały się przepełnione pięknymi damami we wspaniałych sukniach. Profesor trochę się krzywił na obecność obok nich Włoszki w mantyli. Emanuel udawał, że tego nie zauważa. Przy samej scenie, w loży pierwszego piętra siedziała hrabina Soudray w towarzystwie Schwarzenberga. Nowa, ciemno popielata aksamitna suknia zdobiła dzisiaj hrabinę, ale płaszcz był ten sam co wczoraj, biały z rozciętymi rękawami. Manu wyszedł, aby odwiedzić hrabinę w jej loży.

Cieliński mężnie wziął na siebie bawienie Carli i wysunął poza parapet swoją jowiszową brodę, patriarchalnym wyglądem broniąc sytuacji. Zresztą mantyla Carli przez chwilę tylko wzbudziła ciekawość, poczem skonstatowano, że dziewczyna w polskiej loży jest nieładna, lornetki i ocza odrzuciły się w inną stronę.

— Cóż to za dama w loży panów? — spytała pani Soudray podając rękę do ucałowania Emanuelowi. — Bardzo interesująca.

— To córka właścicieli pensjonatu, gdzie mieszkamy — odpowiedział rumieniąc się Krasowicz — takie biedactwo.

— Nie? Dlaczego? Uważam, że ma w twarzy coś interesującego. I tak prosto ubrana.

— Ach, nie ma pani pojęcia, jakie to dla niej święto ten teatr. Nieprzytomna z radości.

— Niech mi pan ją przedstawi.

— Ależ oczywiście. Bardzo chętnie.

— Po skończonym przedstawieniu, niech państwo zaczekają na mnie przy wyjściu z teatru. Odwiozę was samochodem do domu.

Profesor się ucieszył, kiedy mu Krasowicz powtórzył to zaproszenie. Pani Soudray niejako sankcjonowała tę znajomość i obecność Carli w loży. Sama Carla nie orientowała się w sytuacji pochłonięta widowiskiem, zarówno dla niej atrakcyjnym podczas przedstawienia, jak w czasie antraktu.

Rosyjska dość skomplikowana muzyka, naiwna mise-en-scène'a, upraszczająca do dziecinnych sztuczek zamierzoną fantastykę Korsakowa, nudziły trochę Krasowicza. Bezsensowność tego rosyjskiego widowiska w specyficznej włoskiej atmosferze, gdzie sama orkiestra i głosy śpiewaków już brzmiały po włosku, drażniły go. Za to Carla była zachwycona. Cała odbijała się w oczach jej i twarzy jak w zwierciadle. Zachwycała się Lelem i Śnieguroczką, lękała się cara Berendieja, nagłe zmiany światła i ciemności wywoływały w jej twarzy odbłyski. Oczy jej pałały, uśmiechała się bezmyślnie, albo nagle uśmiech znikał jej z twarzy i zjawiał się okrutny zarys ściągniętych, wąskich warg. Robiła się w tych chwilach podobna do ojca i na ten widok ciarki przebiegały po plecach Emanuela Krasowicza.

Gdy kurtyna opadła po ostatnim akcie, podniosła się z krzesła prawie nieprzytomna. Nie mogła zrozumieć zakończenia.

— Jak to, więc ona zniknęła? Co się z nią stało?

— Roztopiła się, bo była zrobiona ze śniegu.

— Roztopiła się? A jej miłość? A on?

— Miłość uleciała wraz z królową wiosną w lepsze światy.

— Ale to jest bardzo smutne!

— Chodźmy już. Pani Soudray będzie na nas czekała.

Carla schodziła ze schodów, wsparta na ramieniu Krasowicza. Przedstawienie zrobiło na niej tak wielkie wrażenie, że była jak gdyby nieobecna. Nawet ruchy jej nabrały owej mechanicznej nierówności, jaką obserwujemy u schizofreników. Emanuel jednak schodził spokojnie marmurowymi schodami, nie zauważając stanu swojej przyjaciółki. Wspaniała pani Soudray stała na samym dole, uśmiechając się życzliwie.

Krasowicz przedstawił jej Carlę, która dopiero podając rękę pięknej damie oprzytomniała trochę. Pani Soudray doskonałą, nieco tylko zmiękczoną włoszczyzną — lingua toscana in bocca... francese — powiedziała jej kilka komplementów.

— O, pani jest zanadto dobra — powiedziała Carla, podnosząc na panią Soudray oczy z równym podziwem, z jakim patrzyła na cara Berendieja. Kuzynka Schwarzenberga, jej płaszcz, jej toaleta, diadem na głowie, zapach jej perfum, jej samochód — wszystko to dla Carli było dalszym ciągiem „Śnieguroczki".

Piękny szofer otworzył drzwiczki, wsadził panie, profesora, Krasowicza, zatrzasnął i ruszyli. Pani Soudray zwróciła się do profesora, unosząc się nad muzyką Korsakowa.

— Ach, powiedział profesor — nie jestem wielkim znawcą — ale wolałbym dzisiaj posłyszeć coś innego. Dziwny jest ten wasz zapał, u was na Zachodzie, zwłaszcza we Francji do wszystkiego, co jest rosyjskie.

Hrabina próbowała to tłumaczyć. Potem zwróciła się znowu do Carli.

— Pani na pewno ma wielki wpływ na pana Emanuela — powiedziała żartobliwie, bardzo lekko. Carla podniosła na nią znowu oczy ocienione mantylą, jak gdyby to był potwór z zaczarowanego lasu. — Niech mu pani poradzi, żeby przyjął moje zaproszenie. Chcę mu pokazać romantyczne Niemcy, Ren i tak dalej. A on chce zostać we Florencji. Czy to czasem nie pani wina?

— Pani żartuje — zdławionym głosem wykrztusiła Carla.

— Naturalnie, że żartuję. Chociaż do Niemiec wyjeżdżam z Florencji naprawdę.

W tej chwili samochód skręcił z Lugarna na Piazza Giuseppe Poggi i zatrzymał się przed pensjonatem. Carla podniosła się, wyszła z samochodu i bardzo dumnym ruchem podała rękę pani Soudray, podnosząc głowę ku górze:

— Niech pani będzie pewna — powiedziała — namówię pana Krasowicza na podróż do Niemiec.

Na górze w jadalni nakryto do stołu i stary Lucchesi wraz z panną Goethe czekali na ich powrót z teatru. Na obrusie stały talerze, zimne mięso, ser, sałata, wino i owoce. Lucchesi kulał wokoło pokoju. Carla zrzuciła mantylę i jednym zabawnym gestem małej ręki zburzyła loki koafiury, która opadła na czoło w nieładzie. Teraz dopiero była prawdziwie ładna. Zasiedli do jedzenia i rozprężone nerwy wprawiły wszystkich w świetny humor. Carla opowiadała ojcu treść przedstawienia, wstawała z krzesła i pokazywała niektóre ruchy aktorów i baletników. Lucchesi wypił dużo wina i rozczulił się, nareszcie, nagle pocałował córkę w rękę i prawie płakał:

— Wybacz staremu ojcu, a tuo vecchio padre — powtarzał — wybacz staremu ojcu.

Panna Goethe opowiadała o uroczystościach w Beyreuth, profesor słuchał z uwagą i opowiadał o wielkich przedstawieniach operowych w Moskwie i Petersburgu, a Krasowicz chłonął oczami Carlę i śmiał się, sam nie wiedząc czego, wesoło, szeroko śmiał się. Rozochocony Lucchesi przyniósł butelkę Asti; Carla podniecona, ożywiona, jasna, wydawała się Krasowiczowi czymś zupełnie nieznanym. W pewnym momencie prosiła go, aby jej przyniósł wełnianą chusteczkę z jej pokoju; okazało się, że nie wiedział, gdzie jest jej pokój; za kuchnią, zaraz na prawo. Odnalazł oczywiście, nie tyle pokój ile komórkę i chusteczkę zawieszoną na krześle. Znajomość topografii mieszkania przydała mu się: w godzinę potem, na palcach wkroczył do tego samego pokoiku. Carla nie poruszyła się, nie zauważył jej nawet na razie w ciemności. Lampa uliczna słabo oświetlała pokój. Carla skurczona, z nogami w dziwaczny sposób podciągniętymi pod siebie, okryta prześcieradłem, siedziała w kącie łóżka, mocno przyciśnięta do ściany. Czarne nieruchome oczy znowu patrzyły w przestrzeń szeroko rozwarte i przerażone.

— Carla — powiedział gwałtownie Krasowicz — co ci jest?

— Och, jakaż ona piękna — bezdźwięcznie, teatralnie powiedziała Carla.

— Wiele jest pięknych kobiet na świecie.

— Pojedziesz z nią do Niemiec? Jak ona powiedziała? „Chcę mu pokazać romantyczne Niemcy..."

— Pewnie pojadę. Jedyna okazja. Nic jestem zasobny w mamonę.

— Trzeba, żebyś jechał. Trzeba.

— A potem wrócę.

— Wrócisz? Po co?

— Jakto? Carla! Po co? Do ciebie. Do Florencji.

— Potem? Wrócisz? Możesz wrócić.

— Wrócę, albo wcale nie pojadę. Wszystko mi jedno.

— Nie wrócisz.

— Co ci jest? Nie wierzysz mi? — zdziwił się szczerze, że ktoś może jemu, Emanuelowi Krasowiczowi nie wierzyć, wszyscy mu wierzyli, matka mu wierzy. — Carla nie bądź dzieckiem. Wrócę!

— Wrócisz? — Carla nagle odwróciła wzrok od jakichś kuszących ją przestrzeni i popatrzyła na Emanuela jak gdyby pierwszy raz go zobaczyła. — Wrócisz?

Krasowicz pochylił się ku niej, a ona kurczowo objęła go za szyję, odchyliła głowę i patrzyła mu w oczy.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

Jan Rojewski

POCO DALEKO SZUKAĆ?

Lubię fryzjerów, którzy uważają za swój obowiązek uprzyjemniać gościowi operację golenia żartobliwą rozmową. Fryzjer, u którego się golę, ma zwyczaj zagajać rozmowę w momencie, kiedy palcami lewej dłoni podciąga w górę koniuszek mego nosa, a brzytwą jeździ wokół moich zaciśniętych warg.

— Czy zna pan dowcip o teściowej i zegarze? — Jasne, że w takiej sytuacji nic nie odpowiadam. — No to proszę posłuchać... — Tuż przed świętami usłyszałem jednak historię zupełnie nową.

„Mieszkam, proszę pana, na Marymoncie w małym domku z ogródkiem. Żona akurat wyjechała do Nowego Miasta za handlem. Porobiłem trochę w ogródku i wracam właśnie do mieszkania ścieżką wyłożoną cegłą. Raptem, nie uwierzy pan, wyłazi z krzaczków na sam środek ścieżki, żaba. Wlepia we mnie gały i dyszy. Jako fryzjer jestem człowiek czysty, a zatem obrzydliwy. Za nic bym takiego paskudztwa nie dotknął. Obchodzę ją bokiem i, nie uwierzy pan, stanąłem jak wryty. Żaba przemówiła do mnie ludzkim głosem. Słowo honoru! Mówi, że jest zaczarowaną królewną i prosi, żebym ją wziął do ręki, to ją w ten sposób odczaruję. Brzydzę się, ale biorę. W takich czasach nie pomóc królewnie? — Zanieś mnie do domu! — Zaniosłem. Nie wierzę, oczywiście, żeby to miała być królewna, ani nawet zwykła kobieta, ale taka gadająca żaba też jest przecież rzadkością. W domu powiada: — Połóż mnie do łóżka! Położyłem i czekam, co będzie dalej. — Rozbierz się i kładź się razem ze mną! — Trudno. Powiedziało się „A" trzeba powiedzieć „B"... I proszę sobie wyobrazić, ledwo ją dotykam gołą piersią, zamieniła się z żaby w piękną, młodą kobietę. Czy w królewnę nie wiem, bo wszystko miała w porządku jak każda kobieta... Ale nie koniec na tym. Nie ochłonąłem jeszcze z wrażenia, taka przemiana to przecież najprawdziwszy cud, kiedy otwierają się drzwi i wchodzi moja żona. Cieszę się, że wróciła z Nowego Miasta o dzień wcześniej, zaraz opowiadam o cudzie i na dowód pokazuję tę odmienioną królewnę. Jeszcze nie koniec... Najbardziej przykre w tej całej historii jest to, że żona nie uwierzyła w tę przemianę..."

Historia mojego fryzjera o przemianie żaby w królewnę jest dzisiaj bardzo modna i stosowana powszechnie. Nawet w „Tygodniku Powszechnym". Żyjemy pod hasłem przemian. Jerzy Turowicz pragnie wmówić w „żonę", ostrożnie, ale stanowczo, że Kisielewski, ta „Królewna" „Tygodnika Powszechnego" była kiedyś brzydką żabą, zwłaszcza do 44 roku, a teraz przechodzi ewolucje ku „królewnie". „Kisielewski, pisząc dziś swą powieść, napisałby ją inaczej". Jest to jednak rzeczywiście tylko osobiste przekonanie red. Turowicza, bo Kisielewski mając całokolumnową okazję w tymże numerze „Tygodnika", nic jakoś o tym nie wspomina. Ta „Królewna" z opowiadania mojego fryzjera też nie tłumaczyła się żabią przeszłością. Można robić „na złość" w felietonach, ale w powieści każdy rzetelny artysta, a takim jest Kisielewski, musi być szczery. Naprzekór Turowiczowi. Nie znaczy to wcale, że Kisielewski jako pisarz spełnia postulaty „Kuźnicy". Autora „Sprzysiężenia" pociągają bowiem „realia" tylko dlatego, że „sunt turpia". Żabka lubi bagienko. Ale trzeba przyznać, że ta żabka jest dla „Tygodnika Powszechnego" ZŁOTĄ RYBKĄ. I dlatego, zamiast opowiadać bajki o Żabim-Królu, powinien red. Turowicz zaśpiewać Kisielewskiemu na łamach swego pisma pieśń swadziebną z „Wiesława":

Nie uciekaj ptaszku luby,
moje sto tysięcy (nakładu),
dogonię ja mojej zguby
i nie puszczę więcej.

Kisielewski, jak się rzekło, nie jest jedyną pozycją współczesnych „Metamorfoz". Miałem przyjaciela, nie pisarza, który w ciągu ostatnich lat i miesięcy nic nie robił tylko się zmieniał. „Zmieniam się codzień od trzeciej do piątej". Doszło do tego, że zatrzymywał znajomych na ulicy z prośbą, żeby mu powiedzieli kim jest, bo sam zapomniał. A zaczęło się w większości wypadków od nadmiaru gorliwości i wielkiego strachu. Słuchano jeszcze wtedy radia-Londyn i niejeden adwokat, inżynier, czy farmaceuta uwierzył naprawdę, że jeżeli nie będzie lewicowym pisarzem, pojedzie zamiast nad Nissę nad Je-nissej. Ludzie porzucali swoje dobre fachy i chwytali za pióra. Tu i ówdzie, nawet szczerze, bo przy kieliszku, ktoś się kajał. — Byłam żabą, ale odczarowaliście mnie i oto zmieniam się w królewnę... — Ale kiedy strach okazał się bezpodstawny, a cenzura tak łagodna, że aż strach pisać, w obawie, że przepuszczą, przypomniały sobie żabki żabią młodość: „Cóż z tego, że żabki rechocą amorficznie, ale za to nastrojowo..."

P. S. O sztuce „Poco daleko szukać?" nie mogę napisać nic złego, bo pominąwszy to, że jej nie widziałem, poinformowano mnie, że przedstawienie trwa zaledwie półtorej godziny, a to jest w każdym razie bardzo dobrze.

KRONIKA KULTURALNA

PROF. T. LEHR-SPŁAWIŃSKI opublikował w zeszycie 3-cim (marcowym) „Twórczości" rozprawę pt. „Slawistyka w Polsce przed i po drugiej wojnie światowej", która to rozprawa — w postaci odczytu — była przezeń niedawno wygłoszona w praskim Instytucie Słowiańskim. Jak sam tytuł jej wskazuje, ma ona charakter przede wszystkim gruntownej informacji z dziedziny, którą porusza. Z tego względu jest niezmiernie pożyteczna, dowiadujemy się z niej bowiem, co się działo w slawistyce polskiej przed wojną (a zapomnieliśmy tego), jakie poniosła straty czasu okupacji, jak się obecnie odradza, jakie się przed nią roztaczają i powinny roztoczyć widoki na przyszłość. Artykuł prof. Spławińskiego jest pierwszy z cyklu, jaki zapowiada redakcja „Twórczości": cykl ten potraktuje w podobny sposób różne gałęzie naszej nauki i sztuki, a więc historiografię, architekturę, muzykę, historię literatury i td. Przyklasnąć — jak to się mówi — tej inicjatywie, przyklasnąć mocno i radośnie.

TRUDNO SIĘ NIE UŚMIECHAĆ, gdy się czyta w prasie niektóre sprawozdania z różnych zjazdów, obrad i ceremonii. Z początkiem kwietnia odbył się w Warszawie zjazd delegatów ZASP-u. Jedna z gazet referuje go w następujący sposób: „Prezes ZASP-u **zakreślił** w ogólnych zarysach najważniejsze zagadnienia, których omówieniem zajmie się Zjazd". Drugi mówca „**podkreślił** wielkie posłannictwo aktora polskiego, który się nie załamał podczas okupacji i stanął dziś do pracy nad odbudową Rzeczypospolitej". Trzeci mówca „**wykreślił** drogi, którymi musi iść teatr w nowej rzeczywistości polskiej, żeby wychować nowego człowieka". Czwarty mówca „**nakreślił** główne wytyczne polityki repertuarowej i najważniejsze osiągnięcia w zakresie życia teatralnego..." Zakreślili, podkreślili, wykreślili, nakreślili i zakończyli. Trzeba się jakoś starać, żeby i „przemówienia" i „omówienia" przemówień były mniej szablonowe i pustobrzmiące.

ZDAJE SIĘ, ŻE NAJLEPSZYM dziś stylistą polskim jest jednak Parandowski. Z przyjemnością czytało się jego długi, a przecie pochłaniający czytelnika, artykuł o kongresie P.E.N.-Clubów w Sztokholmie, ogłoszony w wielkanocnym numerze „Odrodzenia". Ten spokój, prostotę i jasność stylu dają studia klasyczne, choćby w elementarnym zakresie. Toteż z uznaniem należy przyjąć pewien anons wydawniczy: w najbliższym czasie ukażą się prof. U. J. Jana Safarewicza (wilnianina) „Elementy języka greckiego dla polonistów".

St. Latka

ROZWÓJ SPÓŁDZIELCZOŚCI W ZSRR

W „Rzeczypospolitej" ukazał się b. interesujący artykuł pióra N. Sidorowa wiceprezesa radzieckiego „Centrosojuzu" który w całości przedrukowujemy.

Moskwa w kwietniu.

Radziecka spółdzielczość spożywców posiada olbrzymią sieć sklepów, kiosków, stoisk, składów i własnych przedsiębiorstw przemysłowych. Na samej tylko wsi jest 28 tys. spółdzielni, obejmujących ponad 36 milionów członków. Spółdzielczość spożywców bierze poważny udział w zaopatrzeniu ludności w towary przemysłowe i produkty wiejskie. Do ostatnich czasów działalność ta prowadzona była przeważnie w okręgach wiejskich. Obecnie spółdzielczość spożywców rozwinęła sieć handlową także w miastach.

W listopadzie r. ub. rząd powziął uchwałę w sprawie rozwoju w miastach i osadach spółdzielczego handlu żywnością i towarami przemysłowymi, oraz w sprawie zwiększenia produkcji żywności i towarów pierwszej potrzeby przez przedsiębiorstwa spółdzielcze. Przed spółdzielczością stanęły nowe zadania. Powierzono jej obok handlu wiejskiego zorganizowanie handlu także w ośrodkach przemysłowych i osadach robotniczych, zakup produktów wiejskich od chłopów i sprzedaż tych towarów ludności. Oprócz tego rząd polecił „Centrosojuzowi" (Centrala spółdzielcza) rozszerzyć maksymalnie sieć zakładów przeróbki skóry, wełny, lnu, konopi, puchu itp.

Bank państwowy wydaje specjalne kredyty na dokonywanie zakupów na wsi w szerokim zakresie. Jak wiadomo, w kołchozach i w indywidualnych gospodarstwach chłopskich po wypełnieniu przez nie zobowiązań wobec państwa pozostają do rozporządzenia produkty, które mogą być swobodnie zbywane. Wielu chłopów, zamiast sprzedawać na targowiskach kołchozowych, sprzedaje swoje produkty na miejscu spółdzielczości, która płaci ceny notowane na rynku. Zwalnia to chłopa od konieczności dalekiego nieraz wyjazdu na rynek, a sprzyja ogólnej poprawie zaopatrzenia ludności miejskiej.

Obecnie w spółdzielczości spożywców pracuje około 850 tys. ludzi. Na rok 1947 zamierzone jest wykształcenie wielkiej ilości pracowników spółdzielczych w 50 szkołach technicznych i 113 szkołach handlowych, którymi rozporządza spółdzielczość spożywców.

Niedawno w Moskwie odbyła się wszechzwiązkowa narada pracowników spółdzielczych, na której omawiano zagadnienia organizacji handlu miejskiego. Postanowiono do 1 stycznia 1948 r. otworzyć w miastach i osadach fabrycznych około 10 tys. sklepów, punktów sprzedaży i innych przedsiębiorstw handlowych, jak również 2 tys. restauracji, stołówek i herbaciarni. Obrót przedsiębiorstw w 1947 r. określono na 12 miliardów rubli. Dotąd otwarto 5 tys. przedsiębiorstw handlowych w miastach i osadach fabrycznych. Sprzedaje się tam mięso, mleko, owoce, jarzyny i inne towary.

W najbliższym czasie w Moskwie i Leningradzie powstaną 23 wielkie sklepy, w których będą sprzedawane towary organizacji spółdzielczych Ukrainy, Białorusi, Gruzji, Uzbekistanu, Armenii, Azerbejdżanu.

Jednocześnie ma być na wsi szerzej rozwinięty handel nowymi wyrobami przemysłu radzieckiego, motocyklami, rowerami, samochodami, radioodbiornikami i przedmiotami użytku domowego.

W tym roku spółdzielcze organizacje spożywców otworzą wiele nowych przedsiębiorstw produkty wiejskie: masarnie, serownie, maślarnie, olejarnie, wędzarnie ryb. Znacznie powiększy się również liczba przedsiębiorstw spółdzielczych, wyrabiających obuwie, odzież, meble, materiały budowlane itd. Przedsiębiorstwa te mają do końca br. wyprodukować towarów pierwszej potrzeby na sumę 2 miliardów rubli.

W końcu nowego planu pięcioletniego radziecka spółdzielczość spożywców ma przekroczyć przedwojenny poziom handlu o 28 proc.

N. SIDOROW

wiceprezes „Centrosojuzu"

POWSZECHNA SPÓŁDZIELNIA SPOŻYWCÓW W RADOMIU

Jeszcze przed 5 laty nic nie zapowiało, że na terenie Radomia powstanie tak wybitna placówka gospodarcza, jaką już dziś jest **Powszechna Spółdzielnia Spożywców** (Biuro, ul. Żeromskiego 48). Ruch spółdzielczy istniał już wtedy coprawda, Radom posiadał bowiem 5 spółdzielni, a mianowicie: Spółdzielnię „Jedność", Spółdzielnię Garbarską, Nauczycielską, Spółdzielnię „Przyszłość", Radomską Spółdzielnię Spożywców i Spółdzielnię „Postęp". Były to jednak organizmy gospodarczo stosunkowo słabe, o ograniczonym zasięgu działania. I byłoby może wszystko pozostało po dawnemu, gdyby nie szczęśliwy pomysł połączenia wszystkich tych spółdzielni w jeden gospodarczy organizm co stało się faktem w dniu 1 października 1943 r.

Było to więc jeszcze w okresie okupacji. Powszechna Spółdzielnia Spożywców zmobilizowała swoje siły, powoli lecz systematycznie rozwijając swoją działalność. Właściwego jednak rozmachu w swojej twórczej pracy nabrała dopiero po uwolnieniu Radomia spod hitlerowskiego jarzma. Tą datą przełomową w życiu spółdzielni był 1 maja 1945 roku. Wybrano wtedy Radę, powołano nowy Zarząd, a kierownictwo tej placówki objął p. Władysław Imbor.

Ówczesny stan gospodarczy spółdzielni scharakteryzują najlepiej cyfry. Spółdzielnia zatrudniała 86 pracowników i posiadała 16 sklepów. Zapas jej towarów stanowił równowartość 1.800.000.— zł, a tabor składał się z jednego samochodu, 2 koni i jednego wozu konnego.

Obecnie, po dwóch niespełna latach pracy nowego kierownictwa, Powszechna Spółdzielnia Spożywców posiada na terenie miasta 43 sklepy, a w tym. 34 kolonialno - spożywcze, 3 włókiennicze, 2 z wyrobami PMS, 2 z pieczywem. 1 masarski i 1 szewski oraz 5 składów materiałów budowlanych i opałowych. Ponadto Powszechna Spółdzielnia Spożywców, prowadzi w Radomiu następujące placówki wytwórcze: 2 piekarnie mechaniczne o zdolności wypiekowej 6.000 kg. chleba na dobę, warsztat masarski, hurtownię i rozlewnię piwa browaru książęcego Tychy, wytwórnię wód gazowych; a także z ramienia Ministerstwa Aprowizacji kieruje administracją Browaru Parowego J. Saski w Radomiu.

Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Radomiu zrzesza w chwili obecnej 4.780 członków i zatrudnia 223 pracowników, a zapas jej towarów równa się kwocie 42.500.000 zł. Dział Transportowy Spółdzielni posiada w swoim taborze: 7 samochodów ciężarowych, 12 koni, 11 wozów konnych (w tym 3 furgony piekarskie, 2 wozy ciężkie opałowe i 6 wozów lekkich).

Obroty Spółdzielni za rok 1946 wynosiły 279.522.000 zł. Na rok bieżący preliminowano je w wysokości około 400 milionów złotych.

Trudno pominąć milczeniem działalność Spółdzielni na niwie społeczno kulturalnej. Kieruje nią specjalny Wydział Zarządu Spółdzielni, który w swej pracy osiągnął już pewne wyniki. Zorganizowano więc Spółdzielczy Kurs Korespondencyjny, który musi ukończyć każdy pracownik, zawiązano chór mieszany i Koło Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego i imprezy publiczne, spośród których na specjalne wyróżnienie zasługuje koncert zorganizowany dla robotników fabryk radomskich, na który dużą część biletów rozdano bezpłatnie. Rok temu Spółdzielnia przejęła wydawnictwo pisma szkolnego pn. „Głosy Sztubackie", aby z jednej strony przyjść uczącej się młodzieży z konkretną pomocą, a z drugiej strony — zacieśnić kontakt z tą młodzieżą, by budzić w niej zrozumienie dla pracy spółdzielczej i zamiłowanie do kształcenia się w tym kierunku.

Kierownictwo Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Radomiu od lat dwóch, a więc w okresie największego jej rozwoju, spoczywa w ręku p. dyrektora Władysława Imbora, wieloletniego działacza spółdzielczego, który kierowanej przez siebie placówce oddał całe swoje bogate doświadczenie, trud i energię. Toteż rezultaty pracy p. Imbora są widoczne. Obserwuje je całe radomskie społeczeństwo, które szczyci się osiągnięciami rozwojowymi i organizacyjnymi swojej Spółdzielni. (a)

Powszechna Spółdzielnia „Jedność" w Częstochowie

Ruch spółdzielczy na terenie Częstochowy począł przyoblekać realne kształty „już na początku bieżącego stulecia. Inicjatorami tego byli robotnicy miejscowych zakładów przemysłowych, którzy w trosce o tanie i zdrowe wyżywienie własnych rodzin poczęli organizować spółdzielnie spożywców. Pierwsza z nich powstała w 1907 roku a w pięć lat później było ich już na terenie miasta siedem. Te pięć lat doświadczenia wykazało niezbicie, że wspólnymi siłami osiągnąć można znacznie większe rezultaty w pracy, toteż spółdzielnie częstochowskie postanowiły się połączyć w jeden gospodarczy organizm, co znalazło swój wyraz w powołaniu do życia w 1912 r. Spółdzielczego Stowarzyszenia „Jedność".

Od tego czasu przez lat 35 istnieje ta ważna dla miasta placówka gospodarcza i choć nazwa jej została zmieniona, to jednak służy wytrwale dawnym ideałom, osiągając coraz to wyższy poziom swego rozwoju. Powszechna Spółdzielnia „Jedność" w Częstochowie (Biura Zarządu, ul. 1 Maja 6) posiada w tej chwili na terenie miasta 55 sklepów a w tym 49 kolonialno - spożywczych. 3 włókiennicze, 2 wędliniarskie i 1 specjalny wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego. W roku bieżącym otwarte zostaną ponadto 4 dalsze sklepy, a mianowicie: 2 wędliniarsko - masarskie, 1 specjalny z wyrobami Państwowego Monopolu Tytoniowego i 1 włókienniczy. W projekcie jest również uruchomienie sklepu z naczyniami kuchennymi, szkłem i porcelaną, sklepu z meblami oraz reprezentacyjnego punktu sprzedaży ryb morskich i słodo wodnych w stanie żywym, mrożonym i wędzonym. W tej ostatniej sprawie odbyły się już wstępne konferencje z Centralą Rybną przy udziale przedstawiciela Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P. „Społem".

Członków zarejestrowanych Powszechna Spółdzielnia „Jedność" posiada w chwili obecnej 12.000, a jej kapitał obrotowy wynosi przeszło 2.500.000 złotych (fundusz udziałowy — 1.120.000 zł i fundusz społeczny 1.400.000 zł).

Spółdzielnia „Jedność" prowadzi własne zakłady wytwórcze: piekarnię mechaniczną o zdolności produkcyjnej 10.000 kg chleba na dobę, wytwórnię wód gazowych, produkującą 15.000 butelek dziennie, ciastkarnię znaną z produkcji pączków i suchych wyrobów (sucharki ,herbatniki, pierniki) oraz nowoczesny zmechanizowany warsztat masarski wyposażony w chłodnię i przedchłodnię, którego przerób tygodniowy wynosi 100 sztuk trzody chlewnej.

Powszechna Spółdzielnia „Jedność" to organizm gospodarczo zdrowy i silny. Majątek jej stanowią nieruchomości w liczbie 5-ciu: Blok Centrali (ul. 1 Maja 6, Al. Wolności 83-85 i Al. Wolności 87), ul. Narutowicza 178 i ul. Mała 23 wartości łącznej kilkudziesięciu milionów złotych. Wartość bilansowa majątku Spółdzielni w 1939 r. ustalona była na 660.000 złotych przedwojennych.

Obroty Spółdzielni wynoszą przeciętnie 50 milionów złotych miesięcznie. W swoim czasie Spółdzielnia „Jedność" była jedyną w Częstochowie instytucją powołaną do rozprowadzania artykułów reglamentowanych. Odbijało się to ujemnie na jej obrotach, hamowało bowiem w sposób wydatny handel artykułami wolnorynkowymi i produkcją własnych zakładów wytwórczych.

6 lipca 1946 r. odbyło się Walne Zgromadzenie Delegatów, które zatwierdziło sprawozdanie z działalności Zarządu na okres lat 1939 — 1945 i dokonało wyboru nowej Rady Nadzorczej w składzie 15 osób, której przewodniczy prezes Miejskiej Rady Narodowej w Częstochowie, ob. Karol Zajda. W końcu kwietnia, względnie w pierwszej połowie maja br. odbędzie się Sprawozdawcze Walne Zgromadzenie Delegatów Spółdzielni.

Kierownictwo Spółdzielni spoczywa w ręku 3-osobowego Zarządu, który boryka się z trudnościami, ale boryka się zwycięsko nawet w dzisiejszych ciężkich warunkach pracy.

Na odcinku pracy społecznej Zarząd zorganizował trzy kursy: dwa racjonalnego żywienia rodziny i jeden ręcznych robót trykotażowych. Otwarcie kursów nastąpiło w połowie marca br.

W grudniu 1946 r. Spółdzielnia „Jedność" wydała członkom i ich dzieciom bezpłatnie za 850.000 zł towarów, tytułem prezentu gwiazdkowego. Obdarowanym pozostawiono prawo wyboru towarów (z wyjątkiem wódki i artykułów reglamentowanych) w granicach wartości 100 zł dla członków i 75 zł dla dzieci do lat 14.

Pracowników zatrudnia Spółdzielnia 350-ciu. Dla pracowników sklepowych organizowane są co dwa miesiące odprawy, których celem jest nastawienie personelu sklepowego na racjonalną obsługę wielotysięcznych rzecz klientów. Przy sklepach zorganizowano samorząd spółdzielczy w postaci 30 komitetów członkowskich, które współdziałają z Zarządem i pracownikami sklepowymi w usprawnieniu gospodarki sklepowej.

Z dniem 1 kwietnia br. Zarząd Spółdzielni przenosi swoje biura do nowego, obszerniejszego i wygodniejszego lokalu we własnym gmachu przy Al. Wolności 83-85, przystosowanego do tego celu kosztem 3 milionów złotych.

Spółdzielnia mogłaby poszerzyć sieć swoich sklepów, czego wymaga interes konsumenta. Zależy to jednak od życzliwego stanowiska Zarządu Miejskiego, w którego kompetencjach leży gospodarka lokalami na potrzeby spółdzielni. (a)

PRZYGODY ZAGŁOBY

MINISTER, CZY MONTER?



— Ten ci niewielki sprzęt przedziwne fakta mi odsłonił, ukazując, iż prosty lud największą dziś władzę posiada. A było tak:
Silę czasu chodziłem, gdzie trzeba, o założenie tego sprzętu prosząc. W końcum odpowiedni papier uzyskał i na tym, niestety, finis.



— Po trzech miesiącach czekania znowum się do urzędu wybrał, by samego ministra o przyśpieszenie molestować. Dostojnik ów z życzliwością wielką podpis na mym papierku złożył, wyrażając zgodę, by sprawę załatwiono bez zwłoki.



— Aliści, znów trzy miesiące przeszły, a urzędnicy tylko ręce rozkładają. Dopiero jeden znajomy, na bok mnie wziąwszy, całą rzecz wyjaśnił. „Mości Zagłobo (prawi), zgoda ministra rzecz cenna, ale jeśli nie uzyskasz zgody montera, późnej starości bez telefonu doczekasz". To mówiąc, wskazał mi jakiegoś człeczynę, tłumacząc w jaki sposób trza go o zgodę prosić.



— Posłuchawszy światłej rady, już nazajutrz miałem, com mieć pragnął. Tedy raz jeszcze stwierdzam, iż prosty lud więcej dziś od dygnitarzy znaczy.

BAJECZKI

dla dużych dzieci

Janusz Odrowąż

Mój pamiętnik

Jestem sobie młody, szalenie zdolny chłopiec, urodzony wysoko i to absolutnie bez windy.

Przystępując do pisania pamiętnika, powinienem właściwie zaznaczyć, że znajduję się u schyłku swej doczesnej działalności.

Tego jednak nie powiem, bo diabli wiedzą, czy to byłby dowcip, czy prawda.

Przyznam się raczej otwarcie do chęci sprostania memu znakomitemu koledze, który wpadł na ten pomysł o parę tygodni wcześniej.

Nasze dwa żywoty w odcinkach po 10 zł za wiersz powinny jednako pasjonować cały współczesny świat kulturalny.

A więc...

Przyszedłem na ten padół tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Moja matka, Aurelia z domu przy ul. Kaczej, miała dwie siostry, oraz kuzyna z bocznej linii kolejki grójeckiej (Góra Kalwaria).

Jedna z ciotek wyszła za listonosza, który ją bił w poniedziałki, środy i piątki, a druga za damskiego fryzjera, który w te dni nie bił, bo czesał na prowincji.

Kuzyn, już w zaraniu mego życia przestał u nas bywać został bowiem posądzony o przywłaszczenie pamiątkowego moździeża z tłuczkiem. Czy posądzenie to było słuszne, wyjaśni może kiedyś dziejopis, badając z perspektywy lat aurę i zdarzenia, otaczające mą, bądź co bądź, genialną osobę.

Mój ojciec spełniał odpowiedzialny urząd przetokowego na stacji kolei wiedeńskiej i poznał matkę na balu, urządzonym przez IV Oddział Straży Ogniowej. Żyli z sobą szczęśliwie, choć nie mieli nawet skromnego, sześciopokojowego mieszkania w Petersburgu.

Zastanawiam się czasem, czemu matką moją nie była Pola Negri, chociaż ojciec, po powrocie z filmu „Czarny Anioł", wyrażał się z wielkim uznaniem o jej łydkach i w ogóle. Najprawdopodobniej osoba ta nie miała pociągu do kolejarzy, a zwłaszcza do przetokowych kolei wiedeńskiej, płatnych wg XIV grupy uposażeń, plus dochody.

Co do mej dalszej rodziny, to muszę wyznać ze smutkiem, że żaden ze stryjów nie był ministrem aprowizacji w trzech rządach, ani nawet naczelnym redaktorem organu.

Nie kołysał mnie do snu sławny skrzypek Paweł Kochański, naprzemian ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem.

Rodzoną siostrą mojej babki ze strony matki nie była żadna znakomita szopenistka.

Nie miałem ani jednej kuzynki Kuki, która by poślubiła generała Sosnkowskiego.

W ogóle, kogo ja miałem?

I z czym się pcham?

Żebym chociaż był spokrewniony po kądzieli z domem bogatych fabrykantów Poznańskich, lub żeby moja ciotka była kresową obszarniczką...

Mógłbym się wtedy, pod pozorem kpinkowania, tym i owym pochwalić.

Bo demokracja demokracją, a te rzeczy zawsze splendoru dodają.

Niestety, żadnych znakomitości w mej rodzinie nie widzę, a co do sławnych znajomych, - to znam osobiście tylko czarodzieja Nemo i Minkiewicza.

Dlatego, po bolesnym namyśle, zmieniam pierwotny zamiar.

Przestaję pisać pamiętnik.

Dalszych odcinków nie będzie.

Anegdota historyczna



Gdy pod Rouen zakończono roboty nad pogłębieniem koryta Sekwany, Napoleon I przybył osobiście, żeby zlustrować stan rzeczy. Wsiadł do łódki w towarzystwie młodego inżyniera, mającego wygląd marzycielski i roztargniony. Ludzi takich lubił Napoleon zaskakiwać i mieszać niespodziewanymi pytaniami.

— Jaka jest szerokość rzeki w tym miejscu? — zapytał, gdy się znaleźli na środku Sekwany.

— Tyle a tyle metrów, najjaśniejszy panie.

— A głębokości?

— Tyle a tyle.

— A ile ptaków przeprawia się w tej chwili przez Sekwanę? — zapytał cesarz, patrząc drwiąco na inżyniera.

— Jeden tylko, najjaśniejszy panie, ale zato orzeł — odparł inżynier, pochylając bardzo nisko głowę.

Inżynier otrzymał Legię Honorową za znakomite przeprowadzenie robót.

Rebusy i zagadki literackie

Ponieważ naszym milusińskim, jak np. Alince Kołłupajło z Wałbrzycha i Januszkowi Wiśniewskiemu z hotelu „Terminus" w Warszawie podobały się rebusy, zamieszczone w poprzednim numerze, dziś podajemy ich dalszy ciąg. Rozwiązania są pod każdym rysunkiem „do góry nogami".



Jerzy Wyszomirski



Anna Świrszczyńska



Wszyscy pozostali literaci

Kącik filatelistyczny



W dzisiejszym naszym kąciku reprodukujemy nowy znaczek lotniczy republiki San Marino, który otrzymaliśmy z Biura Filatelistycznego F. Gryżewski (Łódź, ul. Piotrkowska 47). Znaczek wartości 100 lirów jest koloru sepii. Rysunek nadzwyczaj prosty i może właśnie dlatego, bardzo efektowny.

W całej Europie, w najbardziej nawet zniszczonych przez wojnę krajach, życie filatelistyczne wraca do normy. Wszędzie działają już wznowione organizacje zbieraczy, urządzono już szereg wystaw (dalsze są przewidziane na rok bieżący), wychodzą specjalne pisma.

Jeśli już wspomnieliśmy o pismach filatelistycznych, warto zaznaczyć, że nawet w Niemczech wychodzą już dwa miesięczniki: „Postillon" w Berlinie i „Globus" w Bambergu.

Jedynie filateliści polscy nie mogą się doczekać własnego pisma. Nie zastąpią go przecież specjalne kąciki filatelistyczne, wprowadzone przez szereg czasopism, nawet tak obszerne, jak np. w „Dzienniku Łódzkim", „Młodej Rzeczypospolitej" itp.

Niestety, i filateliści mieli swoich kolaboracjonistów. Na szczęście nie w Polsce. Przed sądem ludowym w Pradze czeskiej stanął b. redaktor B. Sevcik, oskarżony o denuncjacje filatelistów w latach 1939 - 44. Skazany został on na półtora roku więzienia i na utratę praw na lat dwa.

(wo)

Z placówek wytwórczych „Społem".

Młyn Elektryczny w Częstochowie

Na północnych krańcach Częstochowy przy ul. Tartakowej nr 15/26 istnieje Młyn Elektryczny „Społem". Stanowi on własność państwa. Od 1. X. 1946 r. oddany jednak został pod administrację Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P. „Społem".

Młyn urządzony jest nowocześnie, a jego zdolność produkcyjna wynosi 350 mtr. przemiału zboża na dobę.

Wzorową czystość gwarantuje wysoki gatunek mąki. Zboże przed przemiałem ulega oczyszczeniu przy pomocy specjalnych aparatów. Młyn zatrudnia 43 pracowników, w tym 36 fizycznych.

Młyn pracuje przeważnie dla potrzeb aprowizacyjnych powiatu. Stąd wypływa niewysoka dochodowość tego przedsiębiorstwa. Mimo niskich urzędowych stawek przemiału Młyn w 1946 r. osiągnął 30 milionów złotych obrotu, który w roku bieżącym, zgodnie z preliminarzem budżetowym, wzrośnie do 70 milionów złotych.

Kierownictwo młyna spoczywa w ręku p. inż. Stanisława Henikowskiego, który wydźwignął tę ważną placówkę gospodarczą powiatu częstochowskiego na dzisiejszy poziom.

(a)

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Warszawa, Smolna 12 B-20893.

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

SZTUKA MIĘSA Z BESZAMELEM

1 kg pierwszej krzyżowej ugotowanej w rosole pokrajać w plastry, przesmarować je beszamelem, pokryć resztą beszamelu, posypać tartą bułeczką, skropić masłem i zapiec w gorącym piecu na ogniotrwałym półmisku. Na beszamel trzeba usmażyć małą cebulkę, zasypać łyżką mąki i zalać kilkoma łyżkami mleka, tak, aby utworzyła się gładka masa. Dodać trochę masła, soli, pieprzu i krótko gotować.

PASZTET Z SZYNKI

30 dkg mąki, 2 jaja i trochę wody za gnieść na ciasto takie, jak na makaron. Wywałkować i pokrajać w formie łazanek, ugotować w słonej wodzie, odcedzić i przelać zimną wodą. Z jednego jajka, odrobiny mleka lub wody i paru łyżek mąki usmażyć kilka naleśników. Pokrajać drobno 25—30 dkg szynki i położyć ją na naleśnik na spód formy. Następnie dodać łazanki, polać śmietaną, rozmieszaną z dwoma jajami, po czym znów przekładać warstwami, z góry przykryć wszystko naleśnikiem, zalać śmietaną, skropić masłem i upiec na rumiano.

KREM CZEKOLADOWY

Ćwierć litra dobrego mleka zagotować z pół laseczki wanilii, dodać 10 dkg kakao i wystudzić. Utrzeć 10 dkg cukru z 3 żółtkami, dodać łyżeczkę mąki, zmieszać z ugotowanym kakao, chwilę potrzymać na ogniu, odstawić, dodać 3 listki żelatyny rozpuszczonej w małej ilości gorącego mleka, mieszać aż ostygnie, opłukać formę zimną wodą i zastudzić na lodzie. Krem wyrzucony na półmisek pokryć bitą śmietaną.

KISIEL Z ŻURAWIN

Przebrać żurawiny, opłukać zalać wodą (litr wody na litr żurawin) i rozgotować. Dla aromatu można dodać cynamonu. Rozgotowane żurawiny przecedza się przez gęste sito, odstawia szklankę soku, a do reszty dosypuje się 30 dkg cukru i zagotowuje. W odstawionym, ostudzonym soku rozkłócić 6 dkg kartoflanej mąki i wlewać na gotujący się sok, ciągle mieszając. Gotować krótko — 2—3 minuty — następnie wylać gęstniejącą masę do wypłukanej zimną wodą formy i zastudzić. Do tego kisielu można podać mleko albo ugotowaną na mleku na twardo manną kaszkę, również ostudzoną w formie. W tym wypadku należy zagotować rzadszy kisiel, dodając zamiast 6 tylko 3 dkg kartoflanej mąki.

Sprostowanie

W Nr 15 (39) „Tygodnia" w dziale rozrywek umysłowych w ciągówce nadesłanej przez p. R. Miałkowskiego omyłkowo podano w pozycji 16: „Rybka z gatunku pokrewnego śledziom", winno być: „grupa osób związana wspólnym interesem".

Wykaz osób nagrodzonych za rozwiązanie zadań III Konkursu „Tygodnia" na rozrywki umysłowe podamy w następnym numerze.

V KONKURS „TYGODNIA" *na rozrywki umysłowe*

W numerze 13 (37) ogłosiliśmy czwarty konkurs „Tygodnia" na rozrywki umysłowe, które podawać będziemy w dziesięciu kolejnych numerach.

Jako nagrody Redakcja przeznacza 30 nagród książkowych i 20 nagród prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

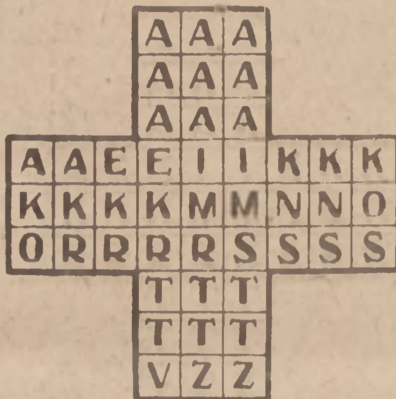
Jednocześnie przypominamy, że konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, prosimy więc po zakończeniu konkursu wskazać 3 najlepsze zadania zamieszczone w ramach tego konkursu. Autorom wyróżnionym przez czytelników przyznane będą wartościowe nagrody. Sądzimy, że w ten sposób wartość zamieszczonych zadań jeszcze bardziej podniesie się.

KRZYŻ MAGICZNY

Ułożył „Orzech"

W podanej figurze poprzestawiać litery tak, aby utworzyły one 3 wyrazy dziewięcioliterowe czytane jednakowo poziomo i pionowo.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1. Choroba oczu. 2. Dziadek. 3. Likier, wyrabiany z wisien dalmackich.

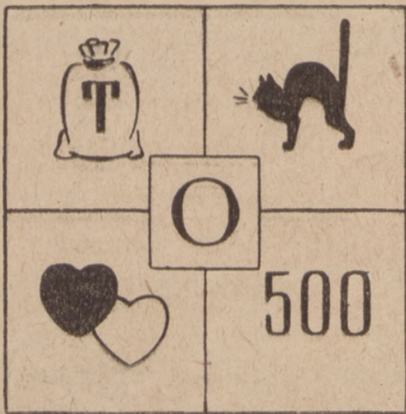


ul. Wołoszyńska

REBUS ODŚRODKOWY

ul. Kasta.

Rebus odczytuje się (w kierunku zegarowym) przez powtarzanie przed znaczeniem każdego obrazka umieszczonej w środku litery.







CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał p. Antoni Pokorski (Łódź, ul. Piotrkowska 68) za artykuł pt. „Szlachetczyzna i sztywne kołnierzyki", ogłoszony w „Kurierze Popularnym". Oto wyjątek z niego:

Stosunek szlachcica do otoczenia regulowany był w pierwszym rzędzie przynależnością kastową człowieka. Stąd pogarda dla chłopstwa i każdego, kto nie legitymował się herbem... Stąd jednocześnie naiwne naśladownictwo tych obyczajów przez niektóre sfery urzędnicze w okresie przedwojennym, traktowanie sztywnego kołnierzyka jako znaku, świadczącego o przynależności do grupy uprzywilejowanej. Dziś sztywne kołnierzyki nie są modne, nie noszą ich nawet najwybitniejsi dygnitarze państwowi, ale szlachetczyzna znaczy tu i owdzie swoje ślady. („Kurier Popularny" Nr 94/523).

Istotnie. Szlachetczyzna polska, która drogą długich ewolucji historycznych wcieliła się wreszcie w sztywny kołnierzyk, nie tylko znaczy tu i owdzie swoje ślady, ale wywiera przemożny a zgubny wpływ na cały świat. W Paryżu, w Londynie, w Waszygtonie, w Kairze, w Szanghaju — mężczyźni w pewnych okolicznościach nakładają staroszlacheckie sztywne kołnierzyki, do nich białe (nie czerwone) krawaty, ponadto fraki. Świadkami podobnego dziwowiska byliśmy ostatnio w Moskwie, podczas konferencji Wielkiej Czwórki: na raucie, wydanym dla „najwybitniejszych dygnitarzy" różnych państw, wszyscy oni występowali w sztywnych kołnierzykach. Co dziwniejsza: znakomita proletariacka orkiestra symfoniczna moskiewska, przygrywająca dygnitarzom, nosiła również sztywne kołnierzyki i fraki. Gdyśmy w imieniu p. Pokorskiego ze zdumieniem zapytali mistrza ceremonii, co to wszystko ma znaczyć, zrobił wielkie oczy i powiedział: a cóż to, moi drodzy, z księżyca spadliście? W dżungli żeście się chowali?

SPOSOBY NA BEZROBOCIE

BRUKSELA (API). Nowy gabinet koalicyjny składa się z 8 socjalistów, 9 ze społeczno - chrześcijańskiej partii i 2 bezrobotnych. Komuniści i liberałowie nie weszli do rządu („Życie Warszawy" Nr 78/684).

U nas mówiło się: szukasz szczęścia, wstąp na chwilę. W Belgii: nie masz pracy? chodź do rządu.

ECHA POWODZI

W dniu wczorajszym zaobserwowano pękanie lodów na Wiśle... Zarządzono alarmy powodziowe na terenie województwa białostockiego i poznańskiego dla powiatów nadnoteckich i nadwarciańskich („Rzeczpospolita" Nr 77).

Czy powiaty nadnoteckie przeniosły się na wschód, czy też województwo białostockie przeniosło się na zachód— trudno powiedzieć. Ale jakieś przesiedlenie na skutek powodzi nastąpiło.

MOŻNA JEŹDZIĆ

Od dn. 4 maja uruchomiony zostanie pociąg: Warszawa — Łódź — Wrocław — Bazylea, który wychodzić będzie z Warszawy o godz. 23.30, do Łodzi przybędzie o godz. 2.34, a do Bazylei o godz. 21.28. Z powrotem zaś wyjdzie o g. 8, do Łodzi przybędzie o godz. 3.32. („Dziennik Łódzki" Nr 321/508).

Na tym się informacja urywa. Nie wiadomo więc, czy ten latający Holender dobija w drodze powrotnej do Warszawy, czy też ze zmęczenia utyka o godz. 3.32 w Łodzi.

UWAGA! NADCHODZI!

Czy wiecie, że... Morze Lodowate posuwa się rocznie o 147 metrów naprzód? („Dziennik Polski" Nr 316).

Wiemy, wiemy... Są nawet dwa morza lodowate, na dwóch biegunach. Przód jednego z nich idzie w kierunku z północy na południe, drugiego — z południa na północ. Wiemy także, że ziemia jest okrągła. Wobec tego obydwa morza spotkają się niezadługo w Krakowie i zaleją redakcję „Dziennika Polskiego".

Stefania Grodzieńska

ODCZYTY W ZWIĄZKU STANOWCZYCH MĘŻATEK 18

MĄŻ A WIOSNA

W dzisiejszej mojej prelekcji zajmę się, drogie panie, kwestią bardzo aktualną. Wiosna, jeśli nawet nie jest jeszcze w pełni, to wkrótce w niej będzie, a wtedy za późno już się zastanawiać, jak pokierować mężem w tej porze roku.

Każda pora roku wymaga innego rodzaju gnębienia męża i innego rodzaju uprzyjemniania mu życia. Jeśli idzie o gnębienie, to każda z nas ma już w łonie matki wystarczającą ilość intuicji w tym kierunku. Natomiast nie każda kobieta potrafi dać swemu mężowi tyle przyjemności, na ile ten bądź co bądź pożyteczny powinowaty zasługuje. Tym więc problemem pragnę się zająć w dzisiejszym referacie.

Wiosną natura budzi się do życia i nie od rzeczy będzie zwrócić na to uwagę męża. W jakiż sposób to uczynić? Ponieważ ten biedak haruje cały dzień w dusznym i zadymionym biurze, wskazane jest rozerwać go nieco na łonie natury.

Męża rozrywa się zawsze planowo i według z góry ustalonej metody. Jedną z najbardziej godnych polecenia rozrywek na łonie natury jest wyprowadzenie męża na spacer po głównej ulicy miasta. Świeże powietrze dobrze mu zrobi, a przy tej okazji można go dokształcić, komentując na głos oglądane wystawy sklepowe. Tak więc trzeba wyłączyć wystawy z męską galanterią, kuponami na garnitury itp. Przed taką wystawą męża mogą ogarnąć niezdrowe myśli, które doskonale rozładuje wystawa z damskimi kapeluszami.

Przed taką wystawą należy bezwzględnie przystanąć i wygłosić przemówienie okolicznościowe. Kobieta prymitywna powiedziałaby w takiej sytuacji: „Wszystkie idiotki mają po pięć wiosennych kapeluszy, a ja wciąż chodzę w tym starym rondlu. Mógłbyś mi już kupić kapelusz do nowego płaszcza". Nawet najmniej podejrzliwy mąż pomyśli, że po to go zabrano na spacer, żeby z niego wyciągnąć kapelusz, co wszak wcale nie leżało w naszych intencjach, drogie panie.

Co gorsza, kapelusza i tak nie kupi i odciągnie nas od wystawy ze słowami: „Czego ty chcesz ode mnie, nie mam pieniędzy".

Toteż kobieta, uświadomiona społecznie, powie: „Dla kogo to wystawiają? Kogo dziś stać na nowy kapelusz? Chyba Fipczakową. Cóż, Fipczak jest na mniejszym stanowisku niż ty, a jak sobie radzi. Ale nic dziwnego. W karty nie gra, więc może żonie kupić kapelusz. Ja tam o kapeluszu nie mam co marzyć. Jeszcze zanim zacząłeś chodzić do Drabiszewskiego na brydża, mogłam sobie pomyśleć, że może... kiedyś... kiedyś przyjdzie taki dzień, kiedy będę miała nowy kapelusz. Ale od czasu, kiedy przegrałeś dwa tysiące złotych przez jeden wieczór..." — „To było trzy miesiące temu" — wtrąci niezawodnie mąż. Na to tylko czekamy.— „Więc co, że trzy miesiące" — odpowiadamy gorzko — „czy trzy miesiące temu łatwiej było zarobić dwa tysiące złotych, niż teraz? Jeżeli było tak łatwo, to dlaczego mi wtedy nie kupiłeś kapelusza?



Czego ty chcesz ode mnie, nie mam pieniędzy.

Z nieba ci spada dwa tysiące złotych, jeśli się je dostało za darmo. Naucz mnie, gdzie dają za darmo pieniądze, kto wie, może ja też się zgłoszę. Pomyśl, ludzie tak biedują, a tu pieniądze rozdają i jeszcze się proszą, żeby ktoś wziął." W tym momencie według naukowych wyliczeń mąż powinien zacząć przejawiać pewne zaniepokojenie. — „Gdzie się znów proszą, o co się proszą?" — powinien zapytać. Jeśli zapyta (a są na to wszystkie dane) — odpowiadamy skwapliwie: „Nie wiem. Właśnie się chciałam u ciebie poinformować. Bo jeśli rozdają pieniądze na przegrywanie w karty u Drabiszewskiego, to czemu nie mają ich dać na kupno kapelusza osobie, która nie ma co na głowę włożyć!" Tu przerywamy tok wypowiadanych myśli i szybkim spojrzeniem taksujemy stan męża. Powinien już być w stadium dostatecznego rozkładu psychicznego, abyśmy mogły zaryzykować frontalny atak: „Ale mniejsza z tym. Obejdę się bez kapelusza. Czy ciebie stać na kapelusz? Fipczaka stać. Owszem. Gdybym była Fipczakową, powiedziałabym do Fipczaka: kup mi kapelusz. Cóż, Fipczak mniej zarabia niż ty, ale nie gra w karty. Ty natomiast..." itd.

Drogie panie! Jeśli mąż nie wejdzie z wami do sklepu i nie kupi wam kapelusza, to znaczy, że wieloletnie studia szeregu uczonych specjalistek zawiodły na całej linii. A to jest przecież nie do pomyślenia.

Po załatwieniu sprawunku można spokojnie zaprowadzić męża do domu. Świeżego powietrza, jak na ten raz, wystarczy.

Jak więc widzimy, drogie panie, uprzyjemnienie mężowi życia na wiosnę nie jest rzeczą trudną.

Adam Rapacki, jeden z kierowników „Społem" i prezes Rady Nadzorczej „Tygodnia" mianowany został ministrem Żeglugi.



„Płyń barko moja, pogoda sprzyja".

Rys. Ign. Witz

ŚWIĄTECZNA PODRÓŻ
Imć. Pana Zagłoby

Zamiast rozwiązania naszego konkursu świątecznego zamieszczamy list naszego czytelnika p. Romana Herniczka z Ostrzeszowa Wlkp., który w malowniczy sposób opisuje podróż naszego bohatera, trafnie odgadując wszystkie zagadki.

Zwiedziwszy Warszawę, w której tak dzielnie podczas najazdu szwedzkiego walczył, zapragnął pan Zagłoba poznać wedle możności szeroki świat. I dlatego, korzystając ze świąt, pan Zagłoba wyrusza w podróż, nie jak dawniej konno lecz nowoczesnym samolotem.

Zanim jednak wyruszył z Warszawy musiał złożyć na miejscu jeszcze dwie wizyty: pierwszą królowi aktorów polskich L. Solskiemu, drugą Stefanowi Wiecheckiemu (Wiechowi), o którego humorze wiele już pan Zagłoba słyszał. A że starał się pan Zagłoba ubierać tak, aby go gospodarz mile widział, idąc więc do Solskiego włożył wspaniały strój aktorski, aby zamienić go później na ubiór warszawskiego „cwaniaka", coś à la Walery Wątróbka, Teoś Piekutoszczak, lub któregoś z innych bohaterów p. St. Wiecha.

Po złożeniu tych dwóch miłych wizyt rusza pan Zagłoba w drogę. Pierwszym krajem, do którego miał się pan Zagłoba udać była Holandia, gdyż pragnął złożyć wizytę księżniczce Juliannie i złożyć jej podarunek. Lecąc jednak samolotem, nad Berlinem, przypomniał sobie pan Zagłoba o przykrym defekcie w bucie, przy którym odpadała podkówka. Chcąc godnie wyglądać musiał pan Zagłoba lądować w Berlinie. Wielkie szczęście, że nasz podróżnik przypomniał sobie o pewnym niemieckim „demokracie", który, jak fama niesie, był ongiś — jak nazwisko wskazuje — szewcem — i do niego udał się pan Zagłoba z butem. Kurt Schuhmacher ciężką miał robotę z butem pana Zagłoby, tym bardziej, i że ten, chcąc mu dokuczyć, częstował go papierosami „Nysa", lub też czytał „Odrę".

Toteż odetchnął Schuhmacher, gdy pan Zagłoba opuścił go, by udać się do Holandii. Tu, niepozbawiony humoru, na audiencji u księżniczki Julianny ofiarował jej Zagłoba w imieniu redakcji „Tygodnia" wyprawkę dziecięcą wraz z życzeniami prędkiego doczekania się syna.

Wychyliwszy na drogę parę kufli piwa z serem holenderskim, ruszył pan Zagłoba dalej. Czekała go teraz niezbyt miła wizyta, jednak nie rezygnował z niej, chcąc wodzowi faszystowskiej Hiszpanii powiedzieć, co o nim myśli. Krótko trwała wizyta u Caudilla Franco, zbyt bardzo spieszyło się Zagłobie.

Nietrudno zgadnąć, dokąd uda się teraz. On, wytrawny polityk, lecz zarazem wielki awanturnik i opozycjonista, który na pewno niejedno „liberum veto" ma na swym sumieniu, jedzie zobaczyć się z człowiekiem pokrewnym mu poczęści duchem, włożąc mu w darze miniaturę „Stanów Zjednoczonych Europy".

Na wizycie u Winstona Churchilla kończą się wizyty pana Zagłoby w Europie. Teraz udaje się on na drugą półkulę. Aby zaznajomić się z panującymi tam stosunkami, udaje się najpierw do wielkiego przyjaciela Polaków, b. dyrektora UNRRA, La Guardiii. Po miłej pogawędce z „little flower" rusza pan Zagłoba przebrany w tureckie szaty do Waszyngtonu, do prezydenta Trumana. Przekonawszy się jednak, że prezydent, zajmując się sprawami Turcji i będąc zaabsorbowany sytuacją w Grecji, nie zwraca większej uwagi na gościa, obrażony nieco wyjechał pan Zagłoba do Hollywood.

Tu, w mieście gwiazd filmowych, zabawił dłużej, korzystając z gościny Charlie Chaplina.

Jednak miły pobyt w Hollywood też musiał się skończyć — czekała jeszcze Pana Zagłobę daleka podróż.

Toteż pewnego pięknego poranku, pożegnawszy się z wszystkimi gwiazdami i gwiazdeczkami, które opłakiwały jego odjazd, ruszył dalej w drogę.

Po tygodniu jazdy dotarł Zagłoba do Chin, krainy „Żółtego Smoka" i zaraz pospieszył złożyć wizytę Czang-Kai-Szekowi, prosząc go zarazem o mały wywiad dla „Tygodnia", gdyż pan Zagłoba stał się po drodze trochę dziennikarzem. Po miłej rozmowie pospieszył Zagłoba do samolotu, aby odwiedzić jeszcze jednego obywatela i zakończyć swą podróż świąteczną. Następnym celem jego wizyty były Indie, gdzie chciał odwiedzić słynnego Ghandi'ego. Wylądował w Kalkucie, gdzie na szczęście znajdował się ów wielki przywódca Indii. W pięknych słowach swej przemowy wyraził Zagłoba swą radość z powodu spotkania tak szczęśliwego oraz w imieniu wszystkich czytelników „Tygodnia" wręczył mu wspaniałą, dojną ...kozę.

Po odbyciu tej ostatniej wizyty, nie zatrzymując się już nigdzie, wraca nasz podróżnik prosto do Warszawy. Wylądowawszy na lotnisku warszawskim udał się pan Zagłoba zaraz do redakcji „Tygodnia", gdzie się podzielił swymi wrażeniami i zapiskami z podróży.